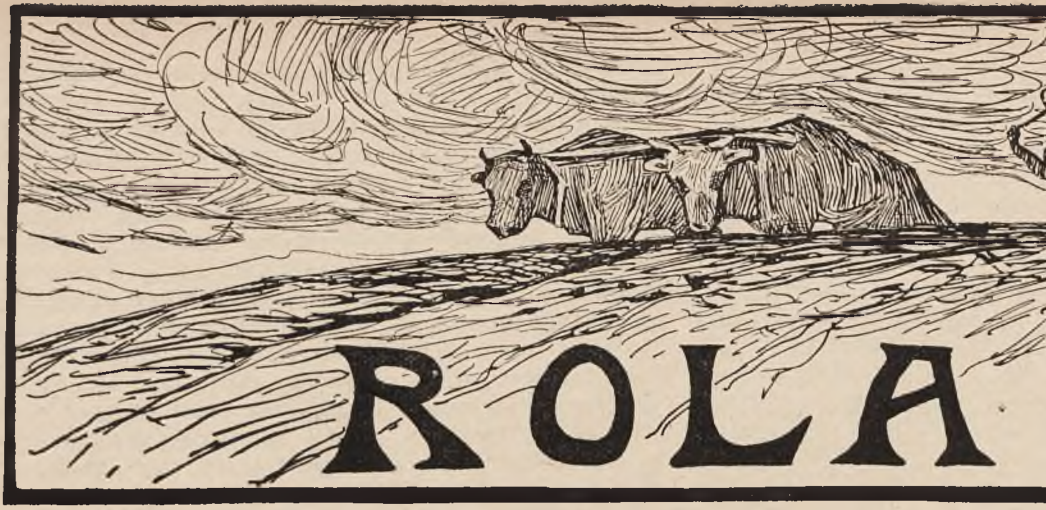


Rok V.
Kraków, dnia 24 września 1911 r.
Nr. 39.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

Pod Chocimem.

Za panowania Zygmunta III Polacy zaczepili Wołochów, gdyż Stefan Potocki i Wiśniowiecki umyślili zdobyć dla siebie Wołoszczyznę. Za Wołochami ujęli się Turcy, zbili wojska polskie a Potockiego i Wiśniowieckiego odesłali do Stambułu.

To nic jeszcze, ale Turek rozgniewany, że go zaczepiono, posłał na granicę Polski 80 tysięcy wojska. Stał tam Żółkiewski, który chciał się z nim zmierzyć, ale król przysłał mu rozkaz, aby Turkowi ustąpił wszelkich praw do Wołoszczyzny, które miał król polski.

Taka ugoda, hańbiąca nasz naród, nie mogła się długo utrzymać, więc Żółkiewski dla poparcia hospodara wołoskiego, który był naszym przyjacielem a tem samem nieprzyjacielem Turków, wchodzi na Wołoszczyznę z 8.000 wojska.

Stanął obóz polski na stepie cecorskim i został otoczony przez stotysięczne wojsko tureckie i tatarskie. Przez siedm dni nasi opierali się dzielnie nieprzyjacielowi, lecz przy końcu siódmego dnia, gdy przyszli niedaleko Dniestru, Turcy sami zmęczeni, przestali ich napastować. Wtedy to ciurowie czyli słudzy szlacheccy zbuntowali się i zaczęli w największym pośpiechu ku Dniestrowi uciekać.

Spostrzegli to Turcy i rzucili się na naszych. Stary Żółkiewski, podpierany przez synów, walczył póki mu głowy nie odcięto. Polacy ponieśli ogromną klęskę.

Wiadomość o klęsce cecorskiej i o śmierci hetmana rozeszła się po całym kraju. Wszyscy na króla spędzali winę, że Żółkiewskiego posłał prawie na rzeź z tak małem wojskiem. Zebrał się sejm, na którym czyniono za to królowi gorzkie wyrzuty.

Na tym sejmie wielki strach padł na wszystkich, albowiem sułtan turecki Osman, zebrawszy wojsko, jakiego świat nie pamiętał, bo trzykroć sto tysięcy wynoszące, chciał zawojować Polskę.

Przeciw nieprzyjacielowi wyruszył hetman litewski, Karol Chodkiewicz, z 35 tysiącami wojska polskiego i 30 tysiącami Kozaków i stanął pod Chocimem, za Dniestrem, gdzie kazał obóz okopać wałami i rowami.

Pokazało się nakoniec wojsko tureckie, które rozłożyło się tak szeroko i daleko, jak tylko okiem dojrzeć. Sułtan turecki, nadęty pychą, brał się za boki od śmiechu na widok garstki Polaków, okopanej w obozie, jak kupka mrówek, i pewny, że ich kopytami rozniesie, kazał uderzyć.

Chodkiewicz jednak nie uląkł się wielkiej ilości Turków. Dzień i noc prawie był na koniu, wśród deszczu, upału, a będąc już w podeszłym wieku, rozniemógł się ciężko, choć tego po sobie nie pokazywał, aż wkońcu wzmagająca się choroba rzuciła go na łoże śmiertelne, do którego, gdy już nadeszła godzina śmierci, zwołał wszystkich hetmanów i napominał ich słabym głosem, aby ostatniej kropli krwi nie żałowali dla ojczyzny.

Zgromadzeni ze łzami w oczach przysięgli mu, że wpierw do jednego polegną, a przed Turkiem nie ustąpią. Jeszcze raz zajaśniały mu oczy radością, że Polska nie zginie, więc ich pobłogosławił, a hetmaństwo zdawszy Lubomirskiemu, Bogu rycerskiego ducha oddał.

Stało się to w dniu 24 września 1621 r.

Jeszcze przez wiele dni Turcy kusili się obóz rozerwać, ale ze stratą odpędzeni, przymuszeni byli prosić o pokój.

Polacy na to chętnie zezwolili, bo nigdy jeszcze takie niebezpieczeństwo nie groziło Polsce, jak wtedy, i najpewniej, gdyby im się noga była powinęła, może dziś na miejscu krzyżów na kościołach widzielibyśmy księżyce tureckie.

O tak! pod Chocimem piersi polskie zasłoniły resztę narodów chrześcijańskich od niewoli tureckiej.

Pohańce, bojąc się śniegów i mrozów przy nadchodzącej zimie, spiesznie do siebie uchodzili, zostawiając na pastwę psom i krukom 60 tys. trupów.

Wszystko to było zasługą Chodkiewicza!

Rozbójnicze gniazdo.

XII.

Miecznikowa u stóp ołtarza. — Tatarzy pod zamkiem. — Pożar miasteczka. — Pierwsza noc oblężonych. — Nocny napad odparty. — Pożar na dolnym zamku. — Janasz ratuje.

W zamku, co żyło, zerwało się na nogi na odgłos: »Orda idzie! orda! Tatarzy!« Miecznikowa usłyszała wrzawę, otworzyła okno, doszły ją te wyrazy, ale mężna niewiasta zamiast się zwrócić tam, gdzie panowała trwoga, poszła tam, gdzie pokój zawsze znaleźć mogła, do ołtarza. Uklękła w kapliczce z Jadzią na krótką modlitwę. Jedna lampka oświetlała ją słabem światełkiem, które drgało na zawieszonej konającego Chrystusa głowie. Po cichu odmówiły obie: *Kto się w opiekę* i *Pod Twoją obronę uciekamy się.*

Miecznikowa wstała pokrzepiona i wyszła do pierwszej izby, ku oknu, rozmyślając, czy tu ma czekać na jakieś wieści, czy wyjść do ludzi. Most palący się jeszcze czerwoną łuną rozświetlał okolicę, na tle jej czarne mury stały groźne i posępne. Widać było przy blasku pożaru ludzi biegnących zewsząd ku murom i basztom, spinających się na dachy i Jabłonowskiego, który ze swymi porządek starał się utrzymać.

W pewnem oddaleniu widać było kupkę jezdnych i kręcące się gromady niszczącej dziczy. Nie śmiała ona przypaść bliżej, snać obawiając się strzałów. Niektórzy jakby dla postrachu tylko wypuszczali z łuków pociski, które padały na bramę i między ludzi, ale bezsilne. Tatarzy dosyć gwałtownie przypadłszy pod zamek, snać nie spodziewali się, aby miano czas most podpalić lub nawet przygotować się do tego. Myśleli, że wprost przypadną do pierwszej bramy bez przeszkody, podłożą ogień i opanują podwórze, które zająwszy, łatwo górny zamek do poddania się zmuszą. Pożar, który ich przywitał, złość ich pobudził. O ile widzieć było można przy łunie pożarnej, znaczna część skoczyła zaraz na bezbronne miasteczko, gdzie w domu już żywej duszy nie było. Najśmielsi pozakopywali się w lochach, dołach i pokopanych pod domami pieczarach. Była to pierwsza zemsta za most, który wstrzymał najezdników. Dogasały głownie dymiąc w przekopie, gdy nieopodal płomień buchnął po rogach mieściny. Lud, który zbiegł z domostwa, odpowiadał jękiem ogromnym na murach. Nędzne te chaty były jedynym jego przytułkiem. Wśród rynku, płotów i po ogródkach uwijały się kupy dziczy, plondrując, przetrząsając kryjówki i szukając tych, co się tam schronić mogli. Kiedy niekiedy jęk bolesny i krzyk radosny dolatywały razem. Dopiero przy wielkiej łunie pożogi można było całe niebezpieczeństwo i siły tatarskie rozmierzyć. Zalegali całą dolinę, podzieleni na różne kupy, które niespokojnie kręciły się dokoła. Po kilkudziesięciu puszczało się pod zamek, stawali wrzeszcząc, jak najbliżej murów, potrząsali łukami, puszczali strzały na lud, który się ukazywał i biegli dalej, szukając, kędyby przystęp był im łatwiejszy.

Tymczasem kasztelanic, który z dworaka nagle stał się żołnierzem, z zapałem rzucił się ku obronie. Przemówiła krew i rycerskie tradycye, zapomniał o pięknej twarzy, o stroju i o wszystkiem. Biegał, zagrzewał i śmiejąc się, dodawał otuchy. Tak zwiedzając wszystkie kąty, napadł na obalone w kącie dwie stare śmigownice,*) znalazł się i moździerz dawny. Kule acz kamienne jakieś stare, do kalibru się znalazły.

*) Małe armatki.

Tatarzy poczęli się kłaść obozem w dolinie, podzieleni na różne kupy. Tu i ówdzie zaświeciły ich ogniska, a przy nich na prędce postawione namioty. Tuż naprzeciwko mostu, w niewielkiem oddaleniu, położył się snać Murza Szejtan, bo tam był namiot największy, a przed nim, na kiju zatknięty, powiewał buńczuk *) z ogona końskiego. Przy świetle płonącego miasta można było widzieć przed buńczukiem na trzech pikach, dla postrachu wetknięte trzy ludzkie głowy mieszczan, których z lochów wydobyto i pościnano. Tłum, który stał w bramie, poznawał te twarze i głowy ze zgrozą i spierał się o nie. Kobiety, płacząc, ręce łamały, starsi stali w ponurem milczeniu. Niektórym zdało się, że przy namiocie Szejtana rozpoznawali Dorszaka.

Wprawne oko tych, co kupy tatarskie widywali, rozliczało tabor Tatarów na tysiące, chociaż w ciemnościach dojrzeć było trudno, ale z rozległości obozu wnoszono. Jabłonowski ledwie na tysiąc głów go rachował. Na zamku tych, co bronić się mogli i umieli, ani stu nie było, ale mury i woda, brzeg stromy i męstwo wielkie. Widziano też, że Tatarowie nigdy długo nie stoją i nie trwają w jednem miejscu.

Od miejscowych ludzi dowiedział się Jabłonowski, że Dorszak pewnie na noc rachuje, mając kogoś ze swoich na zamku i zdradliwą jakąś gotując niespodziankę. Żona jego, jak tylko pierwsza wrzawa powstała, zabrać kazawszy, co miała swego, schroniła się z Horpynką na wieżę pod opiekę miecznikowej. Chociaż tylko jedno dziewczę mówiło, że postrzegło Tatianę, wierzono, iż ona musiała się ukrywać na zamku i przybyła tu niedaremnie. Ludzie suche dachy i kawałki drzewa zbierali, kołąc na drzazgi, aby ogień przez noc dla oświetlenia bliższych części zamku utrzymać.

Tak zbiegł czas do północy. Pierwszy popłoch przeszedł powoli, niektórzy kładli się pod wozami znękani, nie dbając już, co się z nimi stanie. Powoli gwar ustawał, cisza się rozciągała ponad popieliskami dogorywającej mieściny i na zamku; ostatnie głownie dogasały. Dolina pełna była duszącego dymu, który wilgotne powietrze przyciskało do ziemi. Kiedy niekiedy odzywały się czaty. Jabłonowski nie schodził z dziedzińca Był w swoim żywiole i piękna twarz pałała mu rycerskim ogniem; o wszystkiem zapomniał oprócz boju, którego był żądny.

Z północy wszystko się uspokoiło. Pożar, który zniszczył miasteczko, znikł był zupełnie, a głownie pozostałe ze spalonego mostu dymiły w parowie. Spuszczono się na nie zrazu, nie oświetlając tej strony zamku. Teraz prawie była ciemna. Dość głęboki przekop zdawał się z tej strony zabezpieczać. Straże stały u bramy w pewnem oddaleniu.

Nikicie, który tu objął stanowisko i ucho miał czujne, zdało się, że posłyszał szelest naprzód ze strony przeciwnej parowu, potem w samej jego głębinie. Ciemno już było, rzucił się na ziemię i podpełznął na sam brzeg, gdzie para osmalonych palów stała. Chwycił się za jeden z nich ręką i pochylił, przysłuchując w głębinie. Z początku cicho było, więc leżał nieruchomy. Gdy nagle szmer i szeptanie usłyszał po chwili.

Odgadnąć było łatwo, że się musiano podkradać zwolna, korzystając z ciemności, i że tylko Dorszak, znający doskonale miejscowość, mógł tędy ludzi prowadzić. Coprędzej podpełznął Nikita ku bra-

*) Turecka i tatarska odznaka wodza, w formie ogona końskiego.

mie, cicho się ze swoimi kilku rozmówił i wszyscy pobrawszy rusznice, znowu tuląc się do ziemi, unikając najmniejszego szelestu, zbliżyli się nad samo urwisko, rozłożyli rzędem i legli.

Po chwili mogli już rozeznać drapanie się przez krzaki, brnięcie ostrożne przez wodę, ciche nawoływania i chód ku brzegowi, którego pilnowali.

Nikita posłał uwiadomić Jabłonowskiego, ale zażądał, aby nie czyniono najmniejszego hałasu. Ciemność nie dozwalała widzieć, ilu Dorszak mógł mieć ze sobą ludzi. Zdawało się, że coraz nowi spuszczali się z przeciwległego brzegu i zalegali parów. Wprawnem uchem Nikita rozmierzał odległość od siebie tych, którzy torowali drogę. Ciche szepty ich zbliżały się.

Jabłonowski nadbiegł z ludźmi i kazał się im na ziemi położyć, jak pierwsi, tak, aby na dany znak ognia dać mogli. Na bramie przygotowano suche drzewo na sklepieniu drugiego piętra, i kasztelanic poleciwszy ułożyć je w stożek na grubym murze okna, smołą podlane, nagle kazał zapalić. Błysnęło w górze jasne płomię, a światło, padając na część parowu, odkryło całą jego ścianę jakby usłaną głowami tatarskiemi. Jedni stali na dnie, drudzy się ku niemu spuszczali. Kilkunastu już pięło się do góry. Na dany znak Nikita i z nim będący ludzie wypalili z rusznic do parowu. Za nimi skoczyli kasztelanica ludzie i strzelili po raz drugi.

Jak w poruszonem mrowisku zawrzało wszystko w głębi przekopu, powstał krzyk dziki, którym Tatarzy nawykli byli straszyć, równie jak strzałami. Ci, co stali na spadzistości, sypnęli niemi. Tymczasem kasztelanic sam jako tako wycelowawszy śmigownicę, podpalił ją. Huk się rozległ ogromny. Kłąb dymu okrył na chwilę głębię parowu i Tatarzy z popłochem wielkim uciekać zaczęli. Nikita już miał czas rusznice ponabijać, dano z nich ognia raz jeszcze do pierzchających, a ludzie kasztelanica poprawili wkrótce. W głębi widać było i słychać pluszczących się w wodzie ranionych i ciała zabitych. Kula ze śmigownicy padła szczęśliwie w samą gąszcz i stłukła kupę na miazgę. Niewysłowiona trwoga i złość razem objęła dzicz, której wrzaski powtórzył obóz rozbudzony. Wtem nagromadzone w oknie bramy łuczywo dogasało i ciemność znowu zaległa przed chwilą krwawą scenę. Słychać było kupy uchodzące, niezrozumiałą wrzawę i przekleństwa. W pewnem oddaleniu zatrzymało się to wszystko. Na zamku znowu cisza była. Ludzie w dolnem podwórzu wylękli i ściśnieni w kupę, zaczynali się uspokajać. Jabłonowski pod karą nakazywał milczenie i wrócił na górny zamek, a spostrzegłszy miecznikową w oknie z Jadzią, poszedł je uspokoić.

Zboińska powitała go we drzwiach twarzą jasną i wyrazami wdzięczności.

— Mój kasztelanicu, jakże my się wam wywdzięczymy za wasze dla nas poświęcenie!

— Ale to szczęście prawdziwe trafić na tak wyśmienitą grę, jaką mam z łaski pani miecznikowej — odezwał się, śmiejąc kasztelanic. — Dwadzieścia lat czekać potrzeba, nim się co podobnego trafi! Toż to prawdziwa gratka dla młodego jak ja wojskowego. Na dzisiejszą noc spokojni być możemy, i przyszedłem prosić pani miecznikowej, aby raczyła spocząć bezpiecznie.

Kazano przynieść wina, którego był jeszcze zapas, znalazł się piernik toruński i miecznikowa rada była, że gościa czem przyjąć miała. Wtem nadszedł i ksiądz Żudra, pot ocierając z czoła.

— Cóż Janasz? — spytała Jadzia, podchodząc z widoczną niespokojnością.

— No, teraz już nic — odpowiedział ksiądz Żudra. — Jakoś mi się udało uspokoić go. Na pierwszy okrzyk, który się dał słyszeć, zerwał się był, ubrał i wyskoczył na schody, opaski mu z ran pospadały, krew zaczęła uchodzić i ledwiem go zmógł, że napół omdlały, dał się do łóżka położyć. Przez cały czas, gdy trwała wrzawa, jak szalony się wyrywał; dopiero gdy ucichło, mogłem go gwałtem do łóżka zmusić i usnął osłabiony. Kara boża z tą młodością! — dodał kapłan.

Jabłonowski się roześmiał.

— Przecież się i ona na coś w świecie przydać może! — zawołał, patrząc na Jadzię, którą surowy wzrok matki trzymał jak przykutą. — Młodość — dodał kasztelanic — i na to się jeszcze zda, że tam, gdzie stary nie wytrwałby, młody się wyliże. Goi młodość rany, choć nie wszystkie — rzekł ciszej, z rycerza przechodząc w uśmiechu na dworaka. — Zato rany serca dla nas niebezpieczniejsze.

Miecznikowa odpowiedziała mu uśmiechem. — Bardzo się jej to podobało. Spojrzała na Jadzię: ta ze spuszczonemi oczyma stała, nie zdając się smakować w zagajonej rozprawie o sercu. Matce się dziwnem wydawało, że Jabłonowski na dziewczęciu tak mało czynił wrażenia. Pomyślała znowu, że Janasza należało oddalić koniecznie. Czuła, że ta braterska miłość bez wiedzy niewinnej Jadwisi na inną wcale zmienić się w jej sercu musiała.

Kasztelanic pił za zdrowie miecznikowej i panny Jadwigi, gdy kieliszek mu o mało nie wypadł z ręki.

W pierwszem podwórzu, jakby jednym głosem i z jednej piersi zaryczał krzyk dziki. W tejże chwili w okna wieży uderzyła łuna światła.

Jabłonowski, nie żegnając się, wybiegł po schodach. Ludzie na dole biegali jak oszaleli, pokazując palcami do góry, potraciwszy głowy. Z dolnego zamku ciągły ryk i jęk płynął. Gdzieś w dali odpowiadał mu pisk tatarski. Kasztelanic zrozumieć nie mógł, co się stało. Biegł przez podwórze, sądząc, że Tatarzy powtórnie od parowu napadli, gdy ludzie właśni zatrzymali go, pokazując mu dach na murowanym domu, w którym niegdyś mieszkał Dorszak, płonący w dwóch naraz rogach, już rozżarzonym płomieniem.

Skąd się tam ogień mógł wziąć na strychach? Nikt inny tylko zbrodnicza ręka podłożyć go mogła. Przerażenie ogarnęło wszystkich. Łatwo było Tatarom, korzystając z niego i z łuny, która biła dokoła, napaść z którejbądź strony zamczysko. Jabłonowski rozrachował łatwo ogrom niebezpieczeństwa, jakie oblężonym groziło.

W progu wieży Agafia stała z Horpynką — dziewczę, łamiąc ręce, wołało płaczliwie:

— Tatiana! Tatiana!

W tej pierwszej chwili wszystko zależało na utrzymaniu porządku, na rozdzieleniu sił.

Wody do ratunku nie było, wiatr niósł płomienie coraz rosnące, na inne dachy stare, cały zamek łatwo mógł spłonąć i w gruzach zasypać wszystkich. Zdaje się, że dzicz tatarska musiała to przewidywać i czekać tylko na ogień, bo ponad parowem zjawił się tłum, który strzałami sypał i wrzaskiem popłoch wzbudzić usiłował. Chwila była straszna, stanowcza. Z początku wszyscy stracili przytomność, ratunek zdawał się niepodobieństwem, lecz wnet przytomniejsi się znaleźli. Nikita krzyczał, że należałoby dach rozrywać, aby się nie dać szerzyć ogniowi. Siekiery się znalazły w wozach u ludzi, drabin kilka było pod murem, śmielszych garstka ofiarowała się na dach.

Nikita, chwyciwszy topór, który mu podano, chciał dać przykład i wpadł do murowanego domu,

aby próbować ratunku z wnętrza. Wyłamano drzwi, dymu już było pełno. W progu jakieś ciało leżało zapierające drogę. Nikita schylił się i poznał uduszoną od dymu Tatianę, która jeszcze w ściśniętej ręce trzymała drzazgi i siarkowane nici. Nie próbując jej cucić, po ciele jej wpadł dalej, inni poszli za nim. Środek dachu zdawał się jeszcze nie zajęty od ognia, ale dla gęstego dymu, który oczy wyjadał, trudno było postąpić dalej. Musiano się zwrócić ku drabinom i po nich wlazłszy, dach rąbać.

Pożar tymczasem coraz się powiększał, ogromne snopy płomieni, chylone od wiatru, rzucały się ku dachom jeszcze nietkniętym, których nie było czem ani oblać, ani komu w czas rozerwać. Wprawdzie gromadę z dolnego zamku popędzono do ognia, ale starcy, kobiety, wyrostki, mało co pomódz mogli. Część dachu zawaliła się na pułapy, belki gorzeć zaczynały.

Miecznikowa z Jadwigą, obie blade i strwożone, zeszły, milcząc, czekając, co Bóg ześle. Wtem z górnego piętra usłyszały biegnącego człowieka. Jadzi uderzyło serce. Był to Janasz, który, burkę narzuciwszy na siebie, leciał na ratunek. Dziewczę chciało go wstrzymać, lecz jak obłąkany wyśliznął się jej z rąk i pobiegł na pierwsze podwórze. Kilka kroków za nim zrobiła Jadzia, matka, milcząc, chwyciła ją za rękę i wstrzymała.

Janasz pierwszemu, którego spotkał, wyrwał z rąk siekierę i rzucił się na drabinę. Miał gorączkę i odzyskał siły. Nikita i on dostali się na dach budynku i w płomieniach rąbali, co napadli, gorejące głownie strącając w podwórze, gdzie je ludzie gasić mogli.

Za nimi dwoma poszli inni. Przerąbano w środku dach, aby przerwać drogę płomieniom. Gruba nalepa gliny na górze nie dała belkom rozgorzeć. Wciągano wiadra z wodą i polewano głownie. Pożar się zmniejszył. W kilku miejscach zapalone dachy zdołano natychmiast ugasić. Nikicie i Janaszowi winien był zamek ocalenie swoje. Tatarzy widzieli czujność wszędzie, to też z chwili trwogi skorzystać nie mogli.

Gdy ostatnią gorejącą płatew nogą na dół strącił Janasz, zachwiał się sam, głową upadłby na rozżarzone resztki krokwi, gdyby Nikita go nie pochwycił. Korczak znowu zasłabł był z wysiłku, a krwią płynął cały. Silniejszy od niego wziął go na barki dworak, i z pomocą ludzi zsunął na dół po wątłej drabinie. Tu go znalazł ksiądz Żudra, który w milczeniu ręce załamał.

— Ten chłopiec bo szuka śmierci! — zawołał. — Byłoby się bez niego obeszło.

— Przepraszam jegomości dobrodzieja — rzekł Nikita – gdyby nie on, a troszkę ja, tobyśmy się byli wszyscy na pieczyste dla Tatarów upiekli. Jam tylko patrzył i dziwował się, jak on rąbał i skąd on brał tę siłę. A te belki, którychby człek pod spokoiny czas nie dźwignął, rzucał jak słomę.

Gaszono resztki pożaru, gdy Janasza ponieśli ludzie na górę. Na drodze stała miecznikowa, zbliżyła się do niego, popatrzyła na bladą twarz, załamała ręce. Jadzia podeszła za nim aż do drzwi wieży, ale matka ją odwołała, tak żałośliwym głosem żądając, by została przy niej, że posłuchać musiała. Agafia, która była też w podwórzu, choć nie bardzo przytomna, ofiarowała się pójść dozorować chorego. Był też ksiądz Żudra i stara sługa miecznikowej, tak, że mu na opiece zbywać nie mogło.

Zdawało się na dzień zanosić, gdy naostatek niepokój ten ustał i ludzie pousiadali, pot ocierając z czoła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wielkie rozruchy drożyźniane w Wiedniu.

W niedzielę dnia 17 b. m. po olbrzymiem zgromadzeniu, odbytem na placu przed ratuszem wiedeńkim, oraz w ogromnej hali ratuszowej przyszło do groźnych, niebywałych dotąd rozruchów z powodu drożyzny. Brało w nich udział około 140 tysięcy ludzi. Tłum rozbijał szyby w ratuszu i wielu innych gmachach, niszczył sklepy, podpalał wozy tramwajowe. Dopiero połączonym siłom policyi pieszej i konnej, kawaleryi oraz piechoty, powiodło się przywrócić porządek, przyczem po obu stronach padły ofiary: jeden robotnik poniósł śmierć na miejscu, 90 osób jest ciężko rannych. Rozruchy były bardzo gwałtowne; trwały od godzin przedpołudniowych do wieczora. Na wojsko tłumy rzucały kamieniami umyślnie na ten cel przyniesionymi, łamały latarnie, ogrodzenia i kawałkami żelaza i drzewa atakowały wojsko. Trudno wyliczyć, ile sklepów zniszczyły, ile tysięcy szyb wytłukły, zniszczyły nawet i podpaliły dwie szkoły z całem wewnętrznem urządzeniem. Rozżarte masy ludzi przewalały się z jednej dzielnicy do drugiej, niszcząc wszystko na swej drodze. Niewiele pomagało częste rozpędzanie tłumów przez policyantów z dobytemi szablami; zbiegowiska tworzyły się dalej, namiętność rosła, okrzykom przeciw rządowi a także rolnikom, którzy niby to głodzą miejskiego robotnika, nie było końca. Strzały ze strony wojska, maltretowanego, bitego kamieniami i obrzucanego obelgami, padły dopiero wieczór, gdy ataki na wojsko przybrały groźny charakter. Stolica Austryi, z nią całe państwo, wstrząśnięte zostało ogromnie tymi rozruchami. Gazety wiedeńskie i w innych większych miastach wydały zaraz nadzwyczajne dodatki, opisujące krwawe zdarzenia. Wieści o zaburzeniach rozniosły druty telegraficzne w najdalsze krańce państwa; przez dni ostatnie wszędzie mówi się tylko »o rewolucyi drożyźnianej« w Wiedniu.

Że drożyzna dolega wszystkim, tak po miastach jak i po wsiach, wiemy o tem dobrze, odbija się ona na naszej skórze z pewnością dotkliwiej, niż na Wiedeńczykach, bo kraj nasz uboższy i ogół mieszkańców wogóle materyalnie stoi gorzej, niż w krajach przemysłowych austryackich. Ale rozruchy tak namiętne i szalone nie zrodziły się tylko z poczucia niezadowolenia z powodu drożyzny. Tłumy robotników wiedeńskich obrabiali już dawno agitatorzy socyalistyczni, rozdmuchując ich gorycz i żal, spowodowany trudniejszemi warunkami bytu. Bezpośrednio przed zaburzeniami, jak pisaliśmy, odbył się na placu przed ratuszem olbrzymi wiec, na którym przemawiało podburzająco trzydziestu posłów socyalistycznych. Pod wpływem ich wymowy, rozgorączkowane tłumy dokonały dzieła zniszczenia, polała się krew, ciężko ranni, choćby, wyzdrowieli do pracy nie będą zdolni, a setki aresztowanych ciężko odpowiedzą przed sądem za zaburzenia.

To wszystko drożyzny nie złagodzi, a sprawiło dużo nieszczęścia. Po smutnych zajściach zarząd partyi socyalistycznej na drugi dzień ogłosił odezwę, stwierdzającą, że »po spokojnym przebiegu zgromadzeń ludowych, niekarne żywioły zaczęły bić się z policyą i wojskiem. Ponieważ dalszemi demonstracyami nikomu się nie pomoże, kierownictwo partyi wzywa wszystkich robotników i towarzyszy partyjnych do zaprzestania wszelkich dalszych demonstracyj i zbiegowisk ulicznych a w poniedziałek rano — jak zawsze — do udania się do pracy«. Sami lud rozjątrzyli, spowodowali rozlew krwi, a teraz się niby to do spokoju i pracy nawołują. Rychło wczas!

SMUTNY POWRÓT.



Smutny powrót.

Znaną jest z biblii historya o Synu Marnotrawnym, który poszedł w świat, porzuciwszy ojca i matkę. Gdy nażywał się w świecie za otrzymane od ojca pieniądze, popadł w nędzę okropną. Zmuszony niedolą zatęsknił za domem rodzinnym i wrócił doń, prosząc, aby mu pozwolono choćby z trzodą czemś się pożywić.

Podobny wypadek zdarzył się w Toporowie, na Ukrainie, z początkiem 17 wieku. Właściciel Toporowa Baltazar Szydło, zawołany gospodarz, miał syna jedynaka imieniem Jacek, który był ulubieńcem swoich rodziców.

Stary Baltazar kochał syna, ale miłością fałszywą, gdyż zezwalał mu na wszelkie wybryki, jakie sobie tylko synalek wymyślił. A lekkomyślny Jacuś hulał i bawił się w najlepsze, podczas gdy ojciec jego cały oddał się gospodarstwu.

Gdy Jacuś pokazał się w jakiejś miejscowości, zbiegali się do niego jemu podobni, a w owej wiosce rozpoczynały się awantury najgorszego gatunku. Trudno byłoby zliczyć te łby rozbite ręką Jacusia, trudno policzyć szkody wyrządzone w całej okolicy.

Ale do czasu dzban wodę nosi. Rozsądni sąsiedzi poczęli coraz częściej zwracać uwagę Baltazarowi na sprawki jego syna. O ile stary Szydło kochał syna i puszczał mu przedtem wszystko płazem, o tyle teraz uniósł się gniewem okropnym i w jednem tylko lichem ubraniu wypędził ze swego dworku Jacusia.

Młody awanturnik początkowo nic sobie z tego nie robił, sądził bowiem, że towarzysze jego hulanek przyjmą go z otwartemi rękami. Wiadomo jednak, że tylko w szczęściu mamy przyjaciół — w nieszczęściu, a jeszcze do tego zasłużonem, nikt nas nie widzi. To też i kompanowie Jacusia odsunęli się od niego.

Odepchnięty Jacuś puścił się w świat, myśląc, że tam szczęście mu się uśmiechnie. W świecie jednak nie znalazł szczęścia, bo kto pracować nie chce, musi znosić niedolę. A Jacuś pracować nie chciał.

Początkowo duma jakaś nie pozwalała mu na wyciągnięcie ręki o wsparcie, ale wkońcu głód go i do tego zmusił. Przez kilka lat tułał się po świecie, żyjąc żebranym chlebem.

Powoli przychodziło jednak zastanowienie: począł żałować lat straconych, życia zmarnowanego. Przytem zatęsknił za rodzicami i za domem.

O proszonym chlebie, wynędzniały, obdarty zgłodniały przywlókł się przed dom rodzinny. Na progu stała matka jego, staruszka. Ujrzawszy syna w łachmanach, omal trupem nie padła z żałości.

Jacuś rzucił się na kolana, załamał ręce i prosił o przebaczenie. Niema chyba takiej winy, którejby matka synowi nie przebaczyła, to też i Jacusiowi matka na sam jego widok wszystko odpuściła.

Gorzej jednak było z ojcem. Ten zaciął się w swym gniewie i ani słyszeć nie chciał więcej o swym jedynaku Gdy go tylko z ganku zobaczył, kazał się mu precz zabierać. Matka jednak póty prosiła, póty błagała, aż zmiękł stary i zezwolił na pozostanie syna. Postanowił jednak jedno, co dawno powinien był postanowić. Oto Jacek nie miał otrzymywać ani grosza na swe potrzeby a na żywność musiał zarabiać u ojca, jak zwykły robotnik.

Jacuś, nauczony biedą, wziął się szczerze do pracy i odtąd nie przyniósł starym rodzicom żadnego strapienia. Po śmierci ojca stał się wzorowym gospodarzem i był nadal porządnym człowiekiem.

Antoni Socha.

Bajka o Janku i Zosi.

Mówili nieraz nasi dziadkowie, że w dawniejszych czasach jak to ludzie rzadko przystępowali do bierzmowania, że się często żywym ludziom ukazywali nieboszczyki, zwani strzygoniami. Jak taki nieboszczyk nie mógł się z kim za życia pogodzić, to, jak pomarł w gniewie, nawiedzał często po śmierci swojego sąsiada. Chcąc tego uniknąć, nawiedzany brał z grobu wieko od trumny na ramię i szedł z niem do swego sąsiada około północy i tem wiekiem prał mu po ścianach do godziny 5, aż się okna trzęsły i to dotąd, dopóki z nim nie zrobił porządku. Inni zaś tymczasem nieboszczyka odkopywali a grabarz łopatą ścinał mu głowę, obracał go do góry plecami, a głowę mu kładł między nogi. Wtedy nieboszczyk już pod ziemią odbywał swoje podróże.

Otóż niejaki Janek był ze Zosią po słowie i już się mieli pobrać, kiedy wybuchło powstanie i Janek musiał iść na wojnę, na której naturalnie został zabity. Jak się Zosia o tem dowiedziała, tak go opłakiwała całe pół roku.

Wtem jednej nocy ktoś puka do okna. Zosia się pyta:

— Kto tam?

— To ja, twój Jaś, przyjechałem po ciebie. — Ubierz się ładnie i pojedziesz ze mną.

Zosia się ucieszyła, myślała, że on nie umarł, tylko żywy. Czemprędzej więc ubrała się, wsiadła z nim i pojechali. Tak jadą dwie godziny, aż nareszcie stanęli. Gdzieś, nad jakimś dołem, koń zniknął a Jaś mówi:

— Ty zamiast się modlić za moją duszę, toś mi tylko swoim płaczem ciężarem była na tamtym świecie. To mówiąc, przygotowuje i dla niej miejsce w dole.

— Teraz już będziemy razem.

Zosia, nie wiele myśląc, jak on się tam w dole krzątał około wspólnego gniazda, dała drapaka w nogi. W oddali ujrzała jakieś światło w jakimś domu i tam pobiegła. Przybiegła pod dom i dobija się do drzwi, które na szczęście nie były zaparte. Wchodzi więc, pochwaliwszy Pana Boga, ale jej jakoś nikt nie odpowiada, bo tam nikogo nie było, tylko na izbie leżał okropny chłop umarły. Miał on wąsiska kieby dwie miotły, na jedno oko bystro patrzył, drugie miał trochę przymrużone; zęby mu też widać było. Uciekła biedna z deszczu pod rynnę, ale co już miała robić? Uciekać nie sposób, bo ją już siły opuściły. Zaparła więc drzwi i schowała się za piec. A że miała przy sobie różaniec, więc go wyjęła i zaczęła się na nim modlić.

Mimo, że strach nią trząsł całą, modliła się nadzwyczaj gorliwie, aby ją złe minęło, którego się ze strony owego nieboszczyka obawiać mogła.

Za małą chwilę puka ktoś do okna i woła:

— Bracie, bracie, puść mnie!

Na to wołanie nieboszczyk wstaje, ale ona wzięła jedno ziarnko z różańca, urwała i rzuciła na niego. Nieboszczyk nazad się przewrócił. I tak precz, co chciał wstać, to ona na niego ziarnkiem, aże wszystkie ziarnka wyciskała. A ten jeszcze wstawał. Co tu było robić? Ogląda się na wszystkie strony, tak spostrzegła na piecu koguta razem z kurą siedzących. Poruszyła więc koguta, który zapiał a nieboszczyki dali jej już spokój. Od tego czasu nietylko poprzestała płakać za Jasiem, ale nawet nie wspomniała o nim wcale.

Karol Powroźniak.

Pieśń ranna.

Rozkołysana pieśń moja
Nad ranem
Leci, dzwoni, wonie goni,
Nad łanem.

Rozpływa się z mgłą poranną,
W równinie;
Pasterz słucha, w fletnię dmucha,
Pieśń płynie.

Na promykach złotych słońca
Szybuje —
Chwil różowych, snów tęczowych,
Nić snuje.

Gdy na runo łąk kwiecistych,
Opadnie,
Szepta, prosi, ból zanosi,
Z serc na dnie.

Z słodkim śpiewem chórów ptasich
Się kuma,
Echo niesie pieśń po lesie,
Las duma.

Pod lepianki, wiejskie strzechy,
Kołacze,
I nad rolą, chłopa dolą,
Zapłacze.

Głodnych, chorych, pognębionych,
Żałuje,
Pieśń swą drogą, a los trwogą,
Przejmuje.

Wiosna znika, a pieśń o tem
Nic nie wie,
Ból przytłumi, liśćmi szumi
Na drzewie.

Przeszła wiosna, z nią nadzieja,
Zwiędły bzy...
Choć ja w pieśń mą wlałem duszę...
Ludzkie łzy...

Jan Cetera

Obrzęd weselny w Szkocyi.

Przy wszystkich uroczystościach rodzinnych, jak chrzciny, wesela a nawet pogrzeby są we wszystkich krajach rozmaite zwyczaje. Oczywiście w myśl przysłowia: »Co kraj, to obyczaj«, zwyczaje te są wszędzie różne.

Któż nie zna naszych, pięknych nieraz, zwyczajów weselnych, o których inne narody nie mają nawet pojęcia. Dość wspomnieć tych dorodnych naszych młodzieńców, którzy w drodze do ślubu towarzyszą młodej parze na dziarskich rumakach, a harcując na nich obok wozów, wiozących do kościoła gości weselnych.



Jadą oni na przedzie. Poza nimi jadą urocze druchny z muzyką i inni goście weselni a na ostatnim wozie panna młoda ze starościną, zwaną też gdzieniegdzie »swaszką«. Za nimi znów na rumakach zamykają korowód weselny pan młody i starosta, obydwaj na koniach.

W niektórych okolicach starościna wypieka z ciasta, o wielkości włoskich orzechów, tak zwane szyszki i te wzdłuż całej drogi rozrzuca dzieciom, zapewne do zabawy, bo szyszki te są tak twarde, że je zjeść trudno.

A owe inne zwyczaje wśród samego wesela i przy czepinach, owo sadzanie panny młodej na dzieży i towarzyszące jej ceremonie, czyż nie są miłymi i szczerze polskimi zwyczajami?

Tak samo jak u nas, i gdzieindziej są najróżnorodniejsze zwyczaje, któreby nam się może nieco dziecinnemi wydawały, podczas gdy dla tych, którzy je obchodzą, są prawie konieczne.

W dzisiejszym numerze podajemy obrazek przedstawiający jeden ze zwyczajów weselnych, panujących w Szkocyi. Lud ten, pracowity nadzwyczaj, chcąc niejako na każdem weselu dać dowód swej pracowitości, zaprowadził na nich od dawien dawna rzecz następującą:

Oto, gdy państwo młodzi przybędą do domu po ceremoniach kościelnych, muszą obydwoje własnoręcznie przerznąć pień drzewa, przygotowanego poprzednio na ten cel. Stają więc obydwoje, wystrojeni w ślubne ubrania, biorą piłę do rąk i zaczynają ciężką pracę. Pracy tej towarzyszą wszyscy goście, nie szczędząc nowożeńcom żartów i dowcipów.

Gdy pień zostanie przepołowiony, udają się wszyscy na przygotowaną ucztę.

Obrzęd ten nam może się wydawać dziwnym, w Szkocyi zaś bez niego nie obejdzie się żadne wesele.

Rubin wezyrski.

Powieść z roku 1810.

XII.

Poszukiwania moje za śladami od altany chińskiej w ogrodzie, do niczego mię nie doprowadziły. Czy że poszukiwania te późno rozpocząłem i służba ogrodowa, chodząc, zatarła ślady, czy też w istocie dalej, na twardszym gruncie, znać ich nie było, dość że o kilka kroków od altany ginęły. Zresztą dnia owego byłem dziwnie nieswój. Nie mogłem nawet czytać znalezionego w Sułtańskiej komnacie manuskryptu. Siedziałem u siebie, bo Julcia była słaba, a Marya nie chciała jej opuszczać ani na chwilę — byłem więc samotny, tylko z mojemi myślami.

Przed samym obiadem przyszedł Antek i doniósł mi, że Julcia płacze ciągle. Dowiedział się o tem od garderobianej Zuzi, z którą był w bardzo przyjaznych stosunkach. Gadał mi przytem mnóstwo szczegółów.

— Proszę pana, Zuzia to sprytna dziewczyna, ona to zaraz spenetrowała, że panna Julia zakochana w panu, bo wieczór, przy rozbieraniu, najlepszym sposobem wprowadzenia panny Julii w dobry humor, jest opowiadanie jej o panu. Tak mówi Zuzia. No! i wie pan, że po co tu się smucić i łzy gorzkie ronić! Po mojemu tobym tak zrobił: nie czekając na tego tam austryackiego jenerała, pannę wykradłbym, ślub wziął i koniec... Niechże potem odbierą...

Naturalnie kazałem mu milczeć i iść sobie do wszystkich dyabłów. Ale smutek coraz większy, coraz głębszy mię ogarniał. Popołudniu otrzymałem od mego rotmistrza rozkaz, ażebym udał się do burmistrza miasta Stopnicy, gdzie w kasie miejskiej złożono żołd dla mego plutonu, oraz żebym porozumiał się z tymże burmistrzem w kwestyi żywności dla plutonu. Kontent bardzo byłem z tego rozkazu i postanowiłem pojechać zaraz nazajutrz do Stopnicy, unikając spotkania z jenerałem Holmem, który właśnie jutro miał pojawić się w Grzymale.

Stał tam w Stopnicy załogą kapitan Skulski z jedną kompanią piechoty, którego nieco znałem i osobiście i z rozgłosu. Postanowiłem więc wstąpić do niego, pogadać trochę. Jako stojący oddawna w tej okolicy, musiał znać dużo osób.

Nazajutrz, rankiem samym, żeby koni nie zmęczyć na skwarze, ruszyłem do Stopnicy tylko w towarzystwie Antka. Dzień był piękny choć gorący i szerokie łany zboża, cisza leżąca na polach orzeźwiła mię nieco. Zrobiło mi się jakoś weselej. Przez całą drogę Antek prawił mi o Zuzi, o wiadomościach, o Julci i wkońcu rzekł:

— Wie pan, panie poruczniku, co się we dworze grzymalskim święci?

— Nie, nic nie wiem.

— Aaa! to cała historya — wie pan, ten Hiszpan, markiz, smali cholewki do cioci i ciocia od tego nie jest, czemu ja wierzę, bo to wiadoma rzecz, że w starym piecu dyabeł pali. No, i prawdę powiedziawszy, ten bestya Hiszpan rozum ma nielada, bo jak mówi Zuzia, ciocia jest bardzo bogata...

— Skądże ty i Zuzia możecie o tem wszystkiem wiedzieć? — spytałem.

— Jakto skąd? przecie Zuzia nosi bardzo często miłosne bileciki do cioci i od cioci do markiza, a za każdy taki liścik markiz daje Zuzi pięciozłotówkę...

— To jeszcze żadna pewność, listy mogą nie być romansowe. Nie potrzebują wreszcie pisywać do siebie, mieszkając w jednym domu.

— Ja też tak samo mówiłem Zuzi, ale ona mię przekonała, że jest inaczej. Przyniosła mi bowiem raz taki list i powiedziała: Otwórz go Antosiu i przeczytaj, zapieczętowany jest tylko opłatkiem, łatwo będzie na nowo zlepić. Hm! myślę sobie, co mi to szkodzi. Odtąd już czytywaliśmy listy z Zuzią i naśmialiśmy się nieraz do syta... a nikt nie spostrzegł, że były otwierane.

— Przyznam ci się, mój Antku, że to jest nieuczciwie z twej strony, przejmować cudze listy — odrzekłem mu z pewną powagą.



...Julciu — zawołałem — klękając. (Patrz nr. 38).

— Tak, to prawda, proszę pana, ale co to szkodzi. Zresztą tyle różnych rzeczy dowiedziałem się z tych listów, że jak tylko panna Julia będzie miała już iść za tego tam jenerała austryackiego, to markiz i ciocia wezmą wprzódy ślub cichaczem i nikomu o tem nie powiedzą. Że panna Antoaneta zrobiła przed notaryuszem zapis jeszcze dawniej, że jeśli nie pójdzie za mąż, to cały swój majątek zapisuje pannom Wadwicz w równych częściach, a od chwili wyjścia każdej z nich za mąż, obowiązuje się płacić im sześć procent od trzechkroć sto tysięcy złotych, to jest od połowy zapisanego każdej pannie posagu. Teraz więc pan rozumie? Jenerał austryacki wie o tym zapisie i zapewne dlatego żeni się, a tymczasem Hiszpan capnie mu cichaczem z przed nosa fortunę.... A co? nie sprytna bestya?...

Relacya ta zastanowiła mię bardzo i uznałem ją za bardzo prawdopodobną i zgodną z charakterem Hiszpana. Milczałem jednak, udając, że mię to wszystko niewiele obchodzi. Antek zaś prawił dalej:

— Chce zaś całą rzecz zachować w tajemnicy, bo podobno jest wielkim przyjacielem tego austryaka. No, ale ja mu kurtę skroję... beknie on, beknie.

— Ale to wszystko nic, proszę pana — ciągnął dalej Antek — w listach tych bardzo często była wzmianka o panu. Dobrze już nie pamiętam, co tam było, ale wiem, że w jednym liście, będzie temu tydzień, markiz donosi cioci, że pan zakochał się w pannie Julii, i mówi, czyby to nie dobrze było, żebyście się państwo pobrali, że mógłbyś pan wykraść pannę Julię...

— Tak pisał? i ty to czytałeś?

— Na własne oczy, panie poruczniku, jak mamę kocham!

Była to największa przysięga Antka — i komicznie bardzo wychodziła z ust ogromnego chłopa, z wąsiskami jak wiechcie. Roześmiałem się więc.

— Cóż było więcej o mnie?

— O tym interesie już więcej nie pisali, widać się ustnie rozmawiali. Ale zato przez kilka dni z rzędu markiz nalegał na ciocię, żeby pana na coś namawiała.

I spojrzał na mnie z ukosa, ja udawałem obojętnego.

— Ano .. najważniejszy jednak list, proszę pana, był wczoraj rano. Ponieważ tylko był o panu i jakieś dziwne zawierał rzeczy, więc go przepisałem, żeby panu pokazać.

Zadrżałem. Gwałtownie roztworzyłem kartkę papieru, zabazgraną koślawemi ale czystemi literami Antka, i oto co wyczytałem:

Najpiękniejsza, najidealniejsza, ubóstwiana moja Antoaneto! — Przesyłając ci śliczne dzień dobry, donoszę zarazem, że życzenia nasze spełniły się. Już teraz nic nie będzie stało na przeszkodzie naszemu związkowi. Porucznik dzisiejszej nocy był *tam*... widziałem go! A więc sam Bóg chce, byś była moją, najpiękniejszy utworze natury! Postępuj tylko dalej według mych rad. Należy obecnie porucznika ubezwładnić, a wierz mi, że ja to potrafię. Bliższe szczegóły ustnie ci dopowiem. List ten spal. Twój do śmierci *Diego Cantalacillo*.

Zdumiałem się i zimny dreszcz po mnie przeszedł. Rzekłem do Antka:

— Daj mi tę kartkę.

— Dobrze, proszę pana, ja dla pana ją przepisałem.

List ten do pewnego stopnia przeraził mię i był dowodem, że wszystko co mi Antek mówił, było prawdą. Prawdą więc jest, że markiz chce się ożenić z ciotką i wykwitować Holma. Następnie przekonałem się, że namawianie cioci, bym poszedł do Sułtańskiej komnaty, było z woli markiza, że od mego pójścia zależało jego ożenienie, że ja jak głupiec ostatni dałem się użyć za narzędzie, że nakoniec w tej chwili przeszkadzam już markizowi, bo mnie chce usunąć, i że skutkiem tego grozi mi niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo bez wątpienia straszne, gdyż człowiek ten zdolny jest do wszystkiego. Cóż więc tam jest w tej Sułtańskiej komnacie? Od tej wiadomości zależy moje życie i honor, a ja, mając w ręku rękopism stamtąd wzięty, nie przeczytałem go nawet dotąd!



...Jest tu na ścianie obwieszczenie.

Tknięty jakiemś złowieszczem przeczuciem, chciałem się zawrócić do domu, ale już wierze Stopnicy było widać, więc postanowiłem tylko pospieszyć się i pojechałem dalej. Och! czemuż piorun nie uderzył wtedy przedemną, czemuż Stopnica nie zapadła się w ziemię! Wielużbym przez to nieszczęść, hańby i wstydu uniknął!

Ale opowiadajmy rzeczy po kolei.

Przybywszy do magistratu, nie zastałem jeszcze w kancelaryi burmistrza, bo było dość rano. Posłałem więc prosić go, a sam usiadłem w dużym, staroświeckim fotelu, oczekując na zjawienie się jego burmistrzowskiej mości. Kancelarya była pusta, bo oprócz drzemiącego w kącie policyanta, nie było w niej nikogo, a że przytem panował tu miły chłód, oddychałem więc swobodnie i błądziłem wzrokiem po kancelaryi burmistrza. Więc naprzód uderzył me oczy portret króla saskiego, potem cesarza Napoleona w szarym surducie, nakoniec wiszący w kącie portret cesarza austryackiego Franciszka. Wszystko to poczęści było zabrudzone i zakopcone, jak wszystko w tej mrocznej izbie. Pod portretami mieściły się na ścianach liczne ogłoszenia pisane i drukowane.

Znudzony powstałem z fotelu i począłem naprzód przechadzać się po izbie, a potem, stanąwszy pod ścianą, czytać ogłoszenia. Były tam różne rozporządzenia rządowe, ogłoszenia licytacyi, a nakoniec żółty, zbrukany plakat, który całą moją uwagę na siebie zwrócił. Przeczytałem go z niewymownem drżeniem serca. Brzmiał on tak:

OBWIESZCZENIE.

Franciszek hrabia Holm, jenerał od infanteryi i dowódca trzeciej dywizyi cesarsko-królewskich wojsk, wiadomo czyni każdemu, komu o tem wiedzieć należy, iż w dniu 16 kwietnia niejaki Johann Jenitschanek, urzędnik od intendantury armii, uciekł i skradł w gotowiznie i papierach 150 (wyraźnie sto pięćdziesiąt) tysięcy złotych reńskich z kasy trzeciej dywizyi wojsk Jego Cesarsko-Królewskiej Mości.

Ktoby wyż rzeczonego Johanna Jenitschanka uchwycił i dostawił do kwatery głównej Franciszka hr. Holma, jenerała infanteryi w mieście Stopnicy, albo do najbliższej komendy wojskowej, albo doniósł o miejscu jego przebywania, otrzyma 10 (dziesięć) tysięcy złotych reńskich nagody.

Rysopis wyż rzeczonego Johanna Jenitschanka jest następujący: Wzrost wysoki, szczupły, brunet z mocnym zarostem, oczy czarne, rodem Czech z miasta Leitomischla, lat 42, mówi po polsku ,dobrze Ubrany był w uniform oficera od intendantury. — Znaki szczególne: dolna warga ust drży mu ciągle, jakoby miał febrę

Dan, dnia 18 kwietnia 1809 w obozie naszym w Stopnicy.

Jenerał infanteryi:
Franz Graf v. Holm.

Czytając to obwieszczenie, przyszedł mi nagle na myśl markiz Don Diego ze swoją drgającą wargą. Jakoż był on zdolny do takiego czynu, o jakim mówiło obwieszczenie hrabiego Holma, data też jego przybycia do Grzymały zgadzała się z datą zamieszczoną w ogłoszeniu. Przypomniałem sobie, jak regimentarz opowiedział mi przy butelce miodu zaraz drugiego dnia mego pobytu na wsi o tłustym jenerale austryackim, który się upił i podpisał coś, na czem wiele zależało markizowi i regimentarzowi. Rzecz prosta, że ten pobyt spasionego jenerała i ten podpis był w ścisłym związku ze sprawą kradzieży funduszów wojskowych. Wszystko to było dość jasne i samo się tłómaczyło, ale jakim sposobem hrabia Holm, który umieścił swój podpis na ogłoszeniu, który wkrótce potem był w Grzymale i widział zapewne fałszywego markiza, jakim sposobem nietylko że go nie aresztował, ale wkońcu został jego serdecznym przyjacielem? tego pojąć i wytłómaczyć sobie nie umiałem.

Kiedy tak rozmyślałem wszedł burmistrz z ukłonami i zaraz zajęliśmy się naszemi interesami. Po załatwieniu takowych rzekłem:

— Proszę kochanego pana, czy nie mógłbyś mię objaśnić o sprawie kradzieży stu pięćdziesięciu tysięcy guldenów z kasy wojskowej austryackiej w roku zeszłym?

— A! a! przypominam sobie... mówiono mi o tem, ale ja tu wtedy nie byłem, bom ja niedawno został burmistrzem Stopnicy, wprzódy byłem w Tar-

czynie, proszę pana porucznika. Ale, prawda, jest tu na ścianie obwieszczenie o tem...

— A tak, widziałem je... czy nie mógłbyś mi pan dać tego obwieszczenia?

— Hm! czemu nie?

Otrzymawszy owo ogłoszenie, pożegnałem burmistrza i udałem się do kwatery kapitana Skulskiego.

Kapitan Skulski przyjął mię z otwartemi rękami, uczęstował winem i tysiącem wymysłów, zrazami i pieczenią huzarską, nagadał się do syta, ale ostatecznie nic nie wiedział w sprawie mię interesującej.

Niczego więc nie dowiedziawszy się od Skulskiego, zaopatrzony w ogłoszenie hr. Holma, ruszyłem do domu z powrotem. Dzień był skwarny, konie w tem gorącu nadzwyczajnie się męczyły, nie mogliśmy się bardzo pospieszać. Dobrze dopiero koło południa dobiliśmy się do Grzymały.

Tu na dziedzińcu ujrzałem ruch niezwykły, stał duży powóz pocztowy, koło którego kilku nieznajomych zauważyłem ludzi. Powiedziano mi, że przed godziną może przyjechał hr. Holm. Jakkolwiek przygotowany byłem do tej wiadomości, przeraziła mię ona jak piorun, jak coś niespodziewanego.

Oddawszy konia ordynansowi, poszedłem do siebie. Przechodząc sienią koło sali jadalnej, usłyszałem głośną rozmowę, w której dominował głos cioci i markiza. Niepostrzeżony przez nikogo dostałem się na piętro, do swego pokoju. Tu odpocząwszy nieco po skwarze, postanowiłem przedewszystkiem przeczytać rękopism z Sułtańskiej komnaty. W tym celu zbliżyłem się do szafy, w której zamknąłem owe papiery, ale otworzyć jej nie mogłem. Przypatrując się zamkowi, w którym klucz obracał się na wszystkie strony, nie mogąc go otworzyć, zauważyłem liczne rysy, jakby ktoś gwałtem chciał dostać się do szafy. Czułem, że mi pot zimny wystąpił na czoło.

— Mniejsza o to, że mi zabrał papiery, że ich przeczytać nie mogę, ale ma dowód w ręku mojej bytności w Sułtańskiej komnacie! — pomyślałem.

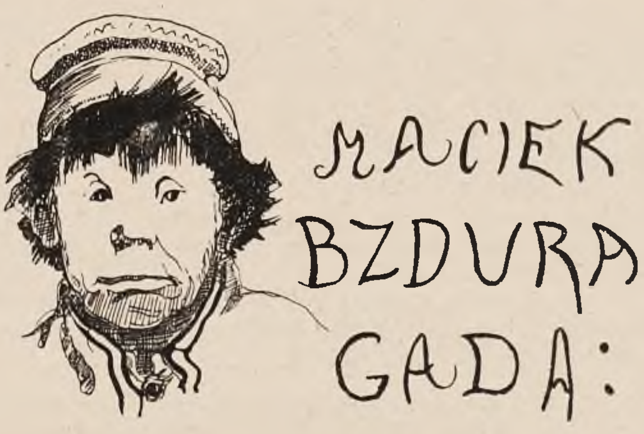
Pewny byłem, że ta moja nocna wyprawa będzie strasznem jakiemś przeciw mnie narzędziem i że markiz ma w ręku dowody. Postanowiłem bądź co bądź otworzyć szafę i przekonać się naocznie o prawdziwości moich przypuszczeń. Używszy ostrza szabli, dłutka i tym podobnych narzędzi, wkońcu szafę otworzyłem i na wielkie przerażenie przekonałem się, że przypuszczenia moje były prawdziwe. Rękopism zniknął!

Zrazu rozpacz mię ogarnęła. Zastanawiając się jednak bliżej nad tem, uspokoiłem się.

— Cóż z tego, że byłem w Sułtańskiej komnacie? Czemże mi to może grozić? niczem... Szkoda, jaką poniosłem z utraty papierów, jest zapewne dotkliwą, bo nie dowiem się o tajemnicy rodziny i markiz mi się wyśliznął. Widocznie wielką wagę przywiązywał do tych papierów, kiedy aż posunął się do ich kradzieży; ale ja go mam w ręku, mam obwieszczenie Holma! Drżyj hultaju!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Następny numer wyjdzie powiększony o cztery strony druku. Podamy w nim treść Kalendarza na rok 1912, jak również wiadomość o „Podarku szczęścia“ dla całorocznych prenumeratów „Roli“.



Jak kto, na ten przykład, co komu ukradnie, to go nazywają poprostu złodziejem i słuśnie; jak kto zabije, to go zwią zbójem i tem podobnie. Ale nie koniec na tem, ze go tak zowią, ale jesce siandar bierze go za kołnierz i prowadzi do ula, aby se tam miał cas pomyśleć nad swojemi zberezieństwami i za nie Pana Jezusa przebłagać.

Prawda, ze brzydkie to są rzecy, bo nawet za to jegomość gadają na kazanicy, ale przecie jesce nie najgorse. Choć ja tam za hareśtem nie jestem i nigdybym do niego nie posed, bo kreminał nikogo jesce nie naprawił, ale nie padam, ze to niesłuśna rzec takiego obskurnego zbereźnika na rozmyślania zamknać.

Ale przecie wiadoma rzec, ze od takich otwartych złodziejów i zbójów są jesce na świecie gorse zbóje i złodzieje, których się ani siandar ani kreminał nie ima. Do takich tobym porachował siła ludzi, nie wyłącając moi gospodyni, ani nawet Kaśki.

Takie ciche złodzieje i zbóje, to są te ludzie, co to tak powoli kradną innem dobre imie, abo ich scęście. Niektóra długojęzycna baba, to se pusca tak z gęby co trochę to pare słów na swe sąsiadki, ale nie takie otwarte ino ciche, z których mozna się domyślać, Bóg wie co. Z takich słówek rosną bajdy, a te niejednego powoli zabijają. Bajcarki to gorse od zbójów i złodziejów.

Abo inaksy gatunek. Są takie ludzie, których jedna porada, jedno dobre słówko, jeden ładny ucynek, mogłyby dla inksego ogromną dobrość zrobić, a oni tego skąpią i przez to zabijają i kradną scęśliwość drugiego, bez co są gorsi od zbójów i złodziejów.

Mam tu na myśli moją gospodynię. Wkiejsik obiecali mi, ze jak zorzę całe stajanie na południe, to na obiad dadzą mi jajeśnicy z pięciu jaj. Zorałem, przyjechałem i... co powiecie?... dostałem ino donickę zimiaków ze siadłem mlikiem.

Rozeźliłem się i miałem ochotę kląć, bom był zły, jak mozna moją scęśliwość bez obiecanki kraść. Przysła na to Kaśka i pocęła mnie mitygować i gadać, ze mi za to gęby da. Ona myśli, psia para, ze jej gęba to jajeśnica abo co! Przecie jej pyska nie uzrę, jagem głodny. Jej się zdaje, ze gemba, to wielkie mycyje, a jakby tak było, to ja za moją dostałbym z osiem stówek abo i więcy.

Myślicie moze, ze ino moja gospodyni taka? Gdzie tam! Kuzda baba, jak ino chce od chłopa co wycyganić, to gębę zrobi, jak powrósło, zęby pokaze a naobiecuje tylaśno, ze chłopa jaze ciągoty bierą i baby słucha.

Co prawda, takie zartowne obiecanki, co nikomu skody nie przyniosą, to niechta, ale są obiecanki nie ino babskie, ale i chłopskie, co wiele skodliwości cynią i takie są brzydkie i warte hareśtu,

Z TYGODNIA.

Zwołanie Rady państwa. Zebrana w parlamencie konferencya przełożonych klubów w obecności prezydenta ministrów Gautscha i ministra Zaleskiego uchwaliła zwołać parlament na 5 października.

Wielkie manewry wojskowe. Przed tygodniem zakończyły się wielkie manewry wojskowe na granicy węgiersko - galicyjskiej w okolicy miasta Turki. Brało w nich udział sto tysięcy ludzi i 20.000 koni. Zastosowane były najnowsze wynalazki, środki żywności przewożono samochodami ciężarowymi, wojsku towarzyszyły kuchnie polowe.

Pryszczyca. W sprawie postępowania urzędowego przy wygaśnięciu pryszczycy ogłosiło namiestnictwo następujący okólnik: Dają się słyszeć skargi, że jakkolwiek wszystkie zwierzęta w kraju wyzdrowiały i zagrody zapowietrzone odkażono, to jednak uznanie pryszczycy za wygasłą opóźnia się tylko dlatego, ponieważ nie przeprowadzono zaraz rewizyi końcowej a rewizya taka zbyt wiele czasu zajmuje. Ażeby zapobiedz tym skargom, namiestnictwo poleciło lekarzom weterynaryjnym, ażeby do pomocy w tej czynności używali miejscowych oglądaczy bydła i całą rewizyę przeprowadzali o ile możności w jednym dniu. Wysłany lekarz weterynaryjny ma z miejsca komisyi lub najbliższego po drodze urzędu pocztowego donieść wprost namiestnictwu o uznaniu pryszczycy za wygasłą.

W sprawie zaś dowozu paszy Syndykat rolniczy w Krakowie ogłasza, że stowarzyszeniom rolniczym udało się skłonić ministerstwo kolei do obniżenia taryfy przewozowej o 50 proc. dla pasz, słomy i siana na wszystkich liniach austryackich kolei państwowych, które to rozporządzenie bezzwłocznie wchodzi w życie. Zniżka ta rozciąga się na wszelkie rośliny pastewne, siano, słomę, podściółkę, buraki pastewne itp.

Śmierć ministra Stołypina. Dnia 14 b. m. w Kijowie po uroczystem odsłonięciu pomnika cara Aleksandra II, na które przybył car Mikołaj z carową, wielkimi książętami, ministrami i mnóstwem dostojników rosyjskich, podczas przedstawienia w teatrze strzelił do prezesa ministrów Stołypina rewolucyonista, niejaki Bagrow i zranił go śmiertelnie. Stołypin rządził Rosyą od lat sześciu. Objął rządy podczas wrzenia rewolucyjnego i bunty tłumił na całym obszarze Rosyi i Królestwa z całą srogością. Wieszanie i rozstrzeliwanie było na porządku dziennym. Gdy kraj się uspokoi, obiecywał wolnościowe reformy. Tymczasem stopniowo odbierał to, co ukazy carskie ludom podległym berłu rosyjskiemu zapewniały. Był to zawzięty wróg Polaków i Kościoła katolickiego. Liczbę posłów polskich z Królestwa do Dumy (parlamentu) w Petersburgu z 33 zmniejszył do śmiesznie małej 11, najsprawiedliwsze wnioski ich w Dumie przedkładane, z pomocą większości mu posłusznej odrzucał, powziął myśl uszczuplenia Królestwa przez wyodrębnienie ziemi chełmskiej. Kościół katolicki, kapłani nasi pod jego rządami, zwłaszcza na Litwie i Białorusi, byli przedmiotem ustawicznych prześladowań, jeśli tylko w duchu przepisów Kościoła pełnili swe obowiązki duszpasterskie. Na Stołypina dokonano już raz zamachu w r. 1906. Rewolucyoniści rzucili bombę, która zniszczyła pałacyk jego, kilkudziesięciu ludzi pozbawiła życia, lecz samemu ministrowi nic nie zrobiła. Obecny zamach go dosięgnął; dnia 18 b. m. Stołypin umarł.

W Hiszpanii dnia 20 b. m. związek robotniczy ogłosił bezrobocie na cały kraj. W kilku miastach wybuchła rewolucya. Król zawiesił swobody konstytucyjne w całej Hiszpanii.

KRONIKA.

Polscy kardynałowie. Zmarły ks. kardynał Puzyna był ósmym z rzędu biskupem krakowskim, ozdobionym rzymską purpurą. Pierwszym kardynałem krakowskim był sławny doradca Władysława Warneńczyka i Kazimierza Jagiellończyka, biskup Zbigniew Oleśnicki. Żmarł on w r. 1455. Nosili nadto purpurę syn króla Kazimierza Jagiellończyka Fryderyk, zmarły w 1503, książę Jerzy Radziwiłł († 1600), Bernard Maciejowski († 1608), Jan Albert Waza królewicz († 1634) i Jan Aleksander Lipski († 1746). W XIX wieku, już za naszych czasów, powołany został przez papieża Leona XIII do św. Kollegium kardynalskiego książę biskup krakowski Albin Dunajewski, poprzednik śp. kardynała Puzyny.

Na konsystorzu papieskim dnia 15 kwietnia 1901 mianował papież Leon XIII biskupa ks. Puzynę kardynałem, powołując w ten sposób drugiego Polaka (obok ks. arcyb. poznańskiego Ledóchowskiego) do św. Kollegium. Pierwotnie zamierzał Leon XIII obdarzyć tą godnością arcybiskupa warszawskiego, ale rząd rosyjski sprzeciwił się tej nominacyi.

Kollegium kardynalskie i tak liczbowo już nie posiadające wymaganej cyfry członków dla wyboru papieża, traci ze śmiercią śp. kardynała Puzyny jeszcze jednego i to z najgorliwszych swych członków. Obecna liczba członków Kollegium wynosi około 40. Przedostatnim kardynałem był kardynał Gruscha, książę arcybiskup wiedeński.

(J. K.) **Wincenty Gnoiński.** W Karlsbadzie, w Czechach, zmarł ś. p. Wincenty Gnoiński w 74 roku życia. Ś. p. zmarły był właścicielem dóbr w Krasnem koło Buska, był swego czasu posłem na sejm krajowy, dyrektorem Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie i delegatem wielu innych instytucyi. Ś. p. zmarły był też człowiekiem dobrym, nie pragnącym nigdy niczyjej krzywdy, a także był dobrym synem swej biednej Ojczyzny. To też na pogrzebie jego w Krasnem, dokąd zwłoki sprowadzono, a który odbył się dnia 11 września, pełno było uczestników, którzy przyszli, aby uczcić pamięć jego. I spoczął w ojczystej swej ziemi, która mu lżejszą będzie, niżli ziemia obca. Cześć jego pamięci!

Złote gody w Kalwaryi Zebrzydowskiej. Rzadką uroczystość obchodzono w Kalwaryi Zebrzydowskiej, mianowicie uroczystość pięćdziesięciolecia pożycia małżeńskiego pp. Antoniego i Karoliny Grzesiaków z Bochni. W kaplicy przed Cudownym Obrazem Matki Boskiej, odbyło się solenne nabożeństwo, poczem wzniośle przemówił od ołtarza do jubilatów kaznodzieja klasztorny ks. Ewaryst Górski z zakonu ks. Bernadynów, a na zakończenie syn jubilatów, ks. Celestyn Grzesiak, udzielił rozrzewnionym rodzicom błogosławieństwa.

Na budowę kaplicy. Ze Szczyrku otrzymujemy następującą odezwę:

W samym zakątku Galicyi zachodniej, o pół godziny od granicy Śląska, leży wioska Szczyrk, w powiecie bialskim. W tej to wiosce jest kaplica Matki Boskiej cudownej, która ma się ku upadkowi, więc gmina wybrała komitet, ażeby postawić kaplicę murowaną. Kamieni już trochę jest nałamanych, obecnie zaczynamy plac kopać większy. Ludzie kopią z okółki za darmo, lecz na rozpoczęte dzieło mamy jeszcze bardzo mało pieniędzy, bo tylko 4 tysiące koron. W imię Matki Najświętszej upraszamy wszystkich, ażebyście nam przybyli z pomocą. Wielu wam już to miejsce znane. Ofiary można przysyłać na ręce członków komitetu: Szymona Perdy i Michała Laszczaka w Szczyrku p. Buczkowice.

Za komitet budowy kaplicy: *Jan Kubala.*

Zimowa szkoła rolnicza w Dulczówce. W roku bieżącym w jesieni rozpoczyna się drugi rok istnienia zimowej szkoły rolniczej, utrzymywanej przez powiat pilzneński w gminie Dulczówka, a zdobytej usilnemi zabiegami marszałka powiatu i posła do parlamentu Dra Mikołaja hr. Reya. Nauka rozpocznie się 3 listopada. Kierownik szkoły p. Borecki, wydał odezwę do gmin i Kółek rolniczych z zachętą do jak najliczniejszego zapisywania się na naukę zimową, gdyż od liczby uczestników zależy wysokość subwencyi, udzielanej przez Wydział krajowy. Zakres nauki w tejże szkole zostanie w roku bieżącym rozszerzony, gdyż wprowadzoną zostanie nauka zręczności, a mianowicie stelmachostwo lub rymarstwo, względnie nauka obu tych rzemiosł. Zapisy przyjmuje kierownik codziennie w szkole w Dulczówce, zaś w dnie targowe w kancelaryi okręgowego Tow. rolniczego w gmachu Rady powiatowej.

Straszne morderstwo. W gminie Róża, — w powiecie pilzneńskim, — o czem doniósł nam jeden z naszych przyjaciół, którego list zamieściliśmy w 33 numerze »Roli« — w domu pewnego gospodarza zabawiało się przy kieliszku całe towarzystwo, a wśród uczestników wesołej zabawy byli także niejaki Stanisław Pych oraz Józef Górak, którzy pokłóciwszy się, nawzajem się sobie odgrażali. Po rozejściu się i powrocie do domu ujrzał Pych nagle pod oknami stojącego człowieka, podobnego do Góraka, porwał przeto za kosę, wypadł z nią z domu, puścił się w pogoń za uciekającym i ciął go kilkakrotnie kosą, przyczem spostrzegł ze zdumieniem, że uciekającym nie był Górak lecz inny gospodarz nazwiskiem Jaje Augustyn.



Po otrzymaniu ciosów, Jaje biegł jeszcze parę kroków, Pych zaś cofnął się do domu i położył się spać. Nad ranem znaleziono trupa Jajego, strasznie pokiereszowanego cięciami kosy, z przeciętą w dwu miejscach ręką i wielką raną powyżej pasa, tak, że aż wypłynęły na wierzch wnętrzności O wypadku doniesiono sądowi, Pycha uwięziono i osadzono w aresztach sądu powiatowego w Pilznie. Sąd przysięgłych w Tarnowie zasądził go obecnie na ciężką karę więzienia. Bogu ducha winien człowiek poniósł straszną śmierć tylko przez omyłkę mordercy, który znów zbrodni dokonał w pijackiej zaciekłości, wychyliwszy sporo wódki na zabawie. Oto do czego doprowadzają wesołe zebrania, gdzie ludzie, pijąc bez miary, wpadają w zbrodnicze szaleństwo.

Pożar w Rymanowie. Dnia 15 b. m. w południe wybuchł w Rymanowie-zdroju groźny pozar. Pastwą płomieni padły łazienki, oraz 7 budynków. Wszystkie te budynki należały do zakładu rymanowskiego. Spaliła się także drewniana kaplica. — Do godziny 6 wieczór pożar umiejscowiono, lecz równocześnie zaczęły palić się lasy, dzięki czemu ogień nie przeniósł się na sąsiednie gminy, za lasem się znajdujące. Szkoda ubezpieczona wynosi 250.000 kor.

(J. H.) **Pożary**. Dnia 8 września b. r. w święto Narodzenia Najśw. Panny Maryi, wybuchł pożar w Zegartowicach, powiat Wieliczka, w domu gospodarza Święchowicza. Spaliły się wszystkie budynki, w chlewie 8 świń, a prawdopodobnie i dziecko $4\frac{1}{2}$ roku liczące, które weszło do izby za ojcem. Dotychczas go nie znaleźli. Przyczyna pożaru nieznana.

Dnia 9 września tj. w sobotę, około godziny 6 wieczór wybuchł pożar na Krasnem w powiecie limanowskim u gospodarza Kapery. Spaliło się wszystko, gdyż z braku wody o ratunku nie było mowy.

W ten sam zaś wieczór o godz. 8 powstał pożar w Żerosławicach w powiecie wielickim. Spaliły się budynki mieszkalne trzech gospodarzy, dwie stodoły i szpichlerz. Jednemu z nich, najbiedniejszemu, spaliło się prosię i 70 koron, które miał schowane na strychu w skrzyni. W pierwszej chwili akcyę ratunkową przy ogniu objął WP. Kazimierz Bzowski, a równocześnie wysłał swoje konie do Łanowa po straż pożarną. Ratunek był wielki, gdyż sąsiednia ludność energicznie broniła, a wody też było podostatkiem w dworskim stawie. Dzięki też temu skończyło się tylko na tem nieszczęściu, bo w przeciwnym razie cała wieś uległaby spustoszeniu. Przyczyna pożaru dotychczas nieznana, przypuszczają jednak, że wicher przyniósł iskrę z palącego się domu na Krasnem.

(St. W.) W nocy z 16 na 17 b. m. wybuchł w Polnej, w powiecie grybowskim, pożar. Zgorzała chałupa robotnika kolejowego i rolnika Wojciecha Muchy. Ratunek nastąpił zapóźno, gdyż pogrążeni w śnie po całodziennej pracy ludzie, nie wiedzieli o nieszczęściu, a stróż nocny, obowiązany czuwać nad bezpieczeństwem gminy, wypełniał swoje zadanie w ten sposób, że spał. Dopiero gdy nieszczęśliwy właściciel płonącego domu po wyniesieniu wszystkich sprzętów, wypuszczeniu ze stajni żywego inwentarza, pobiegł ku dzwonnicy, bijąc na trwogę i wołając o ratunek, zbudził go, udał się do komendanta straży pożarnej, zawiadamiając go o wypadku. Ale równocześnie przybyła straż ze Szalowej, gdyż tamtejszy »warciarz« sumienniej wypełniał swój obowiązek i na pierwszy odblask pożogi doniósł o wypadku tamtejszemu naczelnikowi straży pożarnej p. Marynowskiemu, który, zabrawszy pobliskich podwładnych, ruszył niezwłocznie na pomoc. Połączonym strażom pod kierunkiem obu naczelników udało się ogień ograniczyć pomimo, że przybrał był groźne rozmiary. Zgorzał dach nad mieszkaniem oraz stajnia i komora. Powód niewiadomy. Szkoda wynosi 1600 kor. i nie była ubezpieczona. Zachęty i przedstawienia ludzi światlejszych, aby ubezpieczać swoje zabudowania, mijają bez echa, a w razie nieszczęścia następują żale i rozpacz, że się dobrych rad nie słuchało. Na szkodę tutejszej gminy trzeba dodać, że obowiązany do nocnego stróżowania płatny »warciarz« z reguły przesypia noce spokojnie, nie troszcząc się o nic, a kompetentne władze patrzą na to przez palce.

Jajecznica na gościńcu. Niedawno temu jechał gościńcem do Lwowa handlarz jaj Samuel Katz, wioząc na wozie kilkanaście kóp swego towaru. Nagle jadący z przeciwnej strony samochód tak gwałtownie najechał na wóz z jajami, że go wywrócił i wszystkie jaja potłukły się, wysypując się na drogę razem z właścicielem. Żyd wyszedł żółty z tej masy jajecznicy, którą mogłaby się nawet połowa wsi pożywić. Że narobił strasznego gwałtu, to się samo przez się rozumie.

(J. K.) **Wieczór śmiechu.** Wie całe społeczeństwo polskie, jaka jest ciężka dola Macierzy Szkolnej w Cieszynie, która z powodu braku dosta-

tecznych funduszów będzie zmuszona w najkrótszym czasie zamknąć kilka szkół, które są ostoją, twierdzą, broniącą naród polski w tej dzielnicy od zalewu i zakusów Niemców i Czechów. To też zrozumiał naród polski, jak wielkie i poważne grozi mu niebezpieczeństwo na Śląsku, więc pospieszył z datkami na pomoc braciom swoim. Między wieloma miejscowościami, które urządzały rozmaite przedstawienia na cel Macierzy Szkolnej w Cieszynie, urządziło też Kółko dramatyczne Sokoła w Busku, dnia 10 września »Wieczór śmiechu«, który składał się z humorystycznych śpiewów, monologów, dyalogów tj. rozmów dwóch osób i z żartu scenicznego p. t.: »Próba amatorska«. Na plakatach ogłaszających ten wieczór śmiechu była następująca przestroga: »P. T. Publiczność raczy w interesie własnym zaopatrzyć się na wieczór ten w odpowiednie środki zaradcze, albowiem wskutek nadzwyczajnego śmiechu należy spodziewać się licznych wypadków zasłabnięcia, zaś stacyi ratunkowej w Busku niema!« I rzeczywiście publiczność śmiała się serdecznie a nieraz aż do rozpuku. Czysty dochód z tego wieczoru wyniósł około 70 kor. Każda miejscowość, o ile to jest możliwe, powinna urządzić jakieś przedstawienie na tak szlachetny i patryotyczny cel, to wtedy Macierz Szkolna w Cieszynie nietylko że nie zamknie żadnej szkoły, ale i owszem będzie mogła nawet niejedną szkołę założyć.

Dzieciobójstwo w pociągu. W pociągu osobowym na linii krakowskiej zdarzył się w zeszłym tygodniu oburzający wypadek. Oto jadąca tym pociągiem kobieta przed Rogoźnem powiła dziecię i niedługo potem przed Łańcutem wyrzuciła je przez okno. Przypadkiem przechodzący tamtędy strażnik znalazł świeżego trupa noworodka, a ponieważ okolica, w której się to stało, jest zupełnie pusta, domyślił się strażnik odrazu, że ktoś jadący pociągiem popełnił zbrodnię. Zatelegrafował więc natychmiast na stacyę, w kierunku którym pociąg odjechał. Wykryć matkę było nietrudno, choćby na podstawie zeznań podróżnych i konduktora. Aresztowana w Jarosławiu miała się tak dobrze, że pieszo udała się na policyę.

(J. S.) **Piorun.** W miasteczku Baranowie, w powiecie tarnobrzeskim, we czwartek 14 września wyszła chmurka nie tak wielka i około godz. 3 popołudniu uderzył piorun w stodołę Ignacego Warchoła. Stodoła spaliła się wraz ze wszystkim zbiorem i sianem tegorocznem. Dzięki energicznej pomocy straży pożarnej miejscowej zdołano ogień ugasić i będące w pobliżu domy i stodoły ocalić od ognia.

Głuchoniemy przejechany przez pociąg. Przed kilku dniami pociąg kolejowy, zdążający z Krakowa do Kocmyrzowa, najechał niedaleko stacyi w Bieńczycach na głucho-niemego żebraka Jurka, który nie słysząc jadącego za nim pociągu, zginął skutkiem swego kalectwa. Jurek przeniesiony na dworzec kolejowy w Bieńczycach, zmarł w skutek doznanych ciężkich obrażeń.

(F. K.) **Pożar.** W sobotę, dnia 9 września, o godz. 2 popołudniu wybuchł pożar w gospodarstwie Jana Kamyczka w Polskiej Lutyni, na Śląsku austr. Pastwą płomieni padła stodoła, napełniona zbożem i szopa wraz z częścią znajdujących się tam narzędzi gospodarskich. Na miejsce pożaru przybyły sikawki z Polskiej Lutyni, które zdołały uratować dom kryty słomą. — Ogień został podłożony przez chłopca Kopańskiego, który miał być przyczyną już niejednego pożaru.

(J. M.) **Nagły zgon.** W Czechowicach, na Śląsku austr., zmarł nagle na udar serca tamtejszy właściciel dóbr, Wacław Heinisch. Wyszedł rano po śniadaniu, całkiem zdrowy, ku łowieniu ryb i nagle na grobli padł na ziemię. Natychmiast przywieziono go do domu, gdzie przywołany lekarz stwierdził już tylko śmierć. Pogrzeb odbył się w poniedziałek, przyczem zwłoki złożono w grobowcu familijnym w Mikuszowicach.

Pojedynek na samochodach. W okolicy Budapesztu odbył się niebywały dotychczas pojedynek, który ni stąd ni zowąd wybuchł na poczekaniu. W drodze z Gödöllö do Budapesztu wyminął pewien palacz tj. woźnica samochodowy swego kolegę zawodowego, czem go tak rozgniewał, iż tenże dobył rewolweru i począł dawać do przeciwnika strzały.



Napadnięty nie został w tyle, lecz rozsierdziwszy się srodze, jak na krwistego Węgra przystało, odpłacił pięknem za nadobne. Wzajemna wymiana strzałów, na szczęście nieszkodliwych, trwała tak długo, dopóki obaj nie rozjechali się w przeciwne strony. Szalony ten pojedynek, który mógł łatwo spowodować ciężkie zranienie lub śmierć nawet z jadących w samochodach osób, widzimy na naszym obrazku.

Pierwsza kobieta rzeźnikiem. W różnych rzemiosłach pracują już kobiety, lecz rzeźnikami dotąd jeszcze nie były. Pierwszy rzeźnik w spódnicy pojawił się w Wiedniu. Kobieta ta zdała niedawno zawodowy egzamin z rzeźnickiej sztuki.

Głowa ludzka na brzegu morza. Na wybrzeżu morskiem niedaleko Tryestu rybacy wyjeżdżający pewnego ranka łódkami na połów ryb, znaleźli jakiś pakunek, owinięty w chustkę. Przypuszczali, że to zapewne przedmiot wartościowy, aby więc nie było sporów, kto ma go otrzymać, przed odpakowaniem zawiniątka ugodzili się, że wszyscy zawartością jego się podzielą.



Jakież było ich zadziwienie, gdy rozwinąwszy tajemniczy pakiet, przekonali się ze zgrozą, że zawiera on uciętą głowę ludzką. Dano znać zaraz władzom, dotąd wszakże nie zdołano wpaść na trop zagadkowej zbrodni. Obrazek nasz przedstawia chwilę odkrycia, co zawierał porzucony pakiet.

Krwawy wypadek na torze kolei. Bardzo często niestety tak w naszym kraju jak i w Królestwie zdarzają się wypadki najechania przez pociąg na wozy w miejscach, gdzie tor kolejowy krzyżuje się z gościńcem. Powodem bywa zwykle zaniedbanie opuszczenia zapory, niedopuszczającej na wjechanie z gościńca na szyny kolejowe.



Niedawno w Królestwie Polskiem zdarzył się podobny wypadek. Jechało z jarmarku dwóch gospodarzy, a widząc, że zapora kolejowa podniesiona, śmiało skierowali wóz na szyny; w tym momencie jednak wpadł na wóz pędzący całą siłą pary pociąg pospieszny i zdruzgotał wóz w kawałki, przyczem obaj włościanie odnieśli ciężkie rany, a jeden koń został zabity.

Utonięcie na ulicy. Jak są zaniedbane mniejsze miasta Królestwa pod niedbałymi tamtejszymi rządami, dowodzi świeży wypadek utonięcia w błocie jednej z ulic Tomaszowa, należącej tam do pierwszorzędnych, siedmioletniego chłopca, syna miejscowego kupca. W bajorach rynku tomaszowskiego utopiła się przed laty żona pewnego miejscowego urzędnika.

Wysychanie rzek. Jak donoszą gazety warszawskie, wysokość wody na Wiśle wynosi 2 stopy i 3 cale. Tak niski poziom od wielu lat jest notowany po raz pierwszy. Ubytek wód zauważono również we wszystkich rzekach spławnych Królestwa. Są np. miejsca, gdzie Narew, tak zawsze niebezpieczna ze względu na jej głębie i wiry, prawie suchą nogą przejść można. Najlepiej pod względem zasobu wody przedstawia się obecnie Bug. Mniejsze rzeczki, tak liczne w kraju, powysychały zupełnie; odrobina wody znajduje się jeszcze przy źródle, koryto — suche zupełnie.

Żelazny starzec. Do miasta Kowna na Litwie przybył szeregowiec pułku huzarów niejaki Andriejew Mikołajewicz, liczący 143 lat. Mając lat 15, został zabrany z domu rodzicielskiego w Stawiach i we dwa lata potem w r. 1776, został oddany do wojska. Brał udział w wojnie napoleońskiej, w licznych bitwach i, podczas powstania polskiego w roku 1831, uczestniczył w zdobyciu Pragi i Warszawy. W końcu odbył kampanię węgierską i kaukaską. Chociaż kilkakrotnie przedstawiał się cesarzom i prosił o pomoc, jednak samotny i zapomniany przez wszystkich, przyjechał do gubernatora kowieńskiego prosić o zapewnienie utrzymania. Jeżeli prawdą jest, co piszą gazety rosyjskie o tym człowieku, który liczyć ma aż 143 lat — to słusznie nazwać go można żelaznym starcem, tak sędziwego wieku bowiem ludzie już nie osiągają.

Posag na spódnicy. Nawet najbardziej bezinteresowny narzeczony, który żeni się tylko z miłości i niczego prócz ukochanej dziewczyny od rodziców jej nie chce, nie martwi się jednak, gdy dostanie posag. Interesowny zaś przed oświadczynami chciałby się dokładnie dowiedzieć, na jaki posag liczyć może, a nie zawsze da się to łatwo zrobić. Trzeba się wypytywać przez znajomych i krewnych, jeśli rodzicom dziewczyny się nie ufa — a często i oni mogą nieprawdę powiedzieć. W nadmorskiej prowincyi francuskiej Bretanii ludzie sobie tę sprawę bardzo uprościli. Tam dziewczyny określają cyfrę swych posagów bardzo dokładnie za pomocą znaków umówionych. W pewne dni świąteczne ukazują się w krótkich pąsowych spódniczkach, z pod których wychodzą dłuższe. Na pąsowej spódniczce naszyte są wzdłuż galony tj. ładne ozdoby. Każdy galon srebrny oznacza tysiąc franków, galony złote zwiastują 10.000 franków. Wystarczy konkurentowi rzucić okiem na spódniczkę, aby stwierdzić, na jaki posag może liczyć.

Klęska głodowa w Rosyi. W gubernii samarskiej w Rosyi wybuchła klęska głodu. We wielu osadach, skutkiem nieurodzaju, ludność od dni kilku głód cierpi. Bydło i konie sprzedają za bezcen. Tu i ówdzie okazują się objawy tyfusu głodowego. W ostatnich siedmiu latach Samarę nawiedzają po raz piąty nieurodzaje i głód. Korzyści zaś zeszłorocznych dobrych urodzajów sparaliżowano całkowicie niesłychanemi poborami podatkowemi. Licznym wieśniakom zabierali rządowi egzekutorzy podatkowi ostatnie zapasy zboża, bydło, nierogaciznę, wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość.

9555 ofiar upału. Niezwykłe upały, panujące w ciągu ubiegłego lata w Londynie, zebrały żniwa obfite, jak bowiem obliczono urzędownie na podstawie świadectw lekarskich, od lipca b. r. zmarło wskutek porażenia słonecznego w stolicy Anglii 9.555 osób, przeważnie dzieci. Jestto olbrzymia, przerażająca cyfra ofiar tegorocznych upałów.

Lekarstwa chińskie. Niezawodne środki przeciw dżumie zaleca pewien naczelnik policyi chińskiej. Pomysłowy ów dostojnik prowincyonalnego miasta kazał wylepić na drzwiach szpitala następującą zbawienną radę: »Należy wziąć kawałek kości końskiej, zawinąć ją w odcinek czerwonego sukna, włożyć do woreczka, który mężczyźni nosić powinni na lewym boku ciała, kobiety zaś na prawym boku«.

Gniazda jaskółcze jako przysmak. Na skalistych wybrzeżach Chin i wysp sąsiednich żyje gatunek jaskółki zwanej Sulanga. Jaskółki te odznaczają się tem, że lepią gniazda z śliny, która na powietrzu tężeje. Jednakże z trudem budowane gniazdka są narażone na niebezpieczeństwo ze strony Chińczyków.



Oto ta skrzepła ślina stanowi przysmak, przez krajowców poszukiwany i zbierany nawet z narażeniem życia. Na obrazku naszym widzimy, jak ludzie ci wspinają się przy pomocy drabinek sznurowych na skały wiszące nad wodami, aby tylko nazbierać pewną ilość tych gniazd jaskółczych, które tak bardzo im smakują. Bywają wypadki, że chęć zdobycia takiego przysmaku niejeden przepłaci życiem, ale inni na to nie zważają.

Prawdziwie amerykański ślub. Inżynier Harry Bennet w Ameryce północnej siedział w pociągu, gdy wtem na jednej ze stacyi weszła młoda kobieta do jego przedziału. Bennetowi spodobała się owa panienka w okamgnieniu i niebawem wyznał jej swą miłość, pytając, czy nie zechciałaby być jego żoną, oraz czy nie chciałaby przystąpić zaraz do ślubu. Młoda panienka zgodziła się. Wtedy Bennet telegrafował z jednej ze stacyj do pewnej miejscowości, przez którą mieli przejeżdżać, aby urzędnik stanu cywilnego znalazł się na stacyi w celu zapisania nowego małżeństwa. Gdy na tę stacyę dojechali, urzędnik już z aktami w ręku stał na peronie. Zanim pociąg po ćwierćgodzinnym przystanku ruszył, urzędnik ową parkę małżonków świeżo zaślubionych do książki zapisał i zwykłe formuły ślubu cywilnego od nich odebrał. Gdy więc Bennet do końca swej podróży dojechał, już był żonaty; w pociągu się zakochał, zaręczył i ożenił. Błyskawicznie, bez straty czasu, prawdziwie po amerykańsku!

Człowiek jakiego jeszcze nie było. W Nowym Jorku wywołuje wielki podziw niejaki Eilis Whitman, który jest w stanie wykręcać swoje kości ze stawów u nóg, rąk i palców, a nawet kości w stosie pacierzowym o własnej mocy może oddzielić jedną od drugiej. Co jednak najbardziej dziwi lekarzy, że ten niezwykły człowiek może swoje serce przeprowadzić z jednego boku na drugi i na której stronie sobie życzy, tam serce jego bije. Grono lekarzy badało tego człowieka i nie mogą wyjść z podziwu nad tem niezwykłem zjawiskiem. — Prawdopodobnie jednak człowieka takiego w Nowym Jorku wcale niema i historya o nim jest figlem gazet amerykańskich, które nie skąpią ich swym czytelnikom.

Rozpaczliwy czyn. Pewien profesor z Nowego Jorku z powodu śmierci ukochanej małżonki nosił się dawno z myślą popełnienia samobójstwa. — W tych dniach wreszcie wsunął się do pokoju sypialnego dzieci swoich: synka i dwóch córeczek, pogrążonych we śnie, i pozabijał je uderzeniami w serce śpiczasto zakończonym nożem, poczem zastrzelił się z rewolweru. W liście do krewnych nieszczęsny zabójca i samobójca oświadcza, że nie może żyć bez ukochanej żony, a ponieważ nie chce pozostawiać dzieci na łaskę losu, odbiera więc życie im i sobie. Do takich to czynów okropnych doprowadza ludzi nieukojona tęsknota, jeśli nie broni ich głęboka wiara, pogodzenie się z wolą Bożą. Prawdziwie religijny człowiek największe ciosy przyjmuje spokojnie a taka nieokiełzana rozpacz, jak owego profesora, nigdy do jego serca nie znajdzie przystępu.

Zagadki do nagrody.

1. ARYTMOGRYF.

(Ułożył Wł. Koza).



1. Spółgłoska. 2. Imię męzkie. 3. Młode kobiety. 4. Góry w Galicyi. 5. Imię i nazwisko. 6. Pasterz owiec. 7. Nie otwarty. 8. Służą do wyrobu płótna. 9. Samogłoska.

Litery środkowe, czytane z góry na dół dadzą nam imię i nazwisko osoby, zmarłej niedawno w Krakowie.

2. GŁOSÓWKA.

(Ułożył S Stolarzewicz z D.)

Pierwsze zgłoski liczbę oznaczają
I dobrze ją też czytelnicy znają,
Gdyż bywa często wznoszona przez gości
W dniu uroczystym na cześć jegomości.
Gdy do tych szóstą i siódmą dodamy
Staną się sprzęty, które w domu mamy;
Czwarta i piąta przyimek wyraża,
A z końcowemi przepaści znów stwarza
Całość zaś razem znajdziesz czytelniku
Zdala od chałup lub też przy chlewiku.

3. SZARADA.

(Nadesłał Walenty Pasierb).

Pierwsza — pół cepów, zaś z trzecią razem
Będzie to skóry ludzkiej wyrazem.
Zaś trzecia wstecz zawsze będzie miarą.
Wszystko miejscowość, gdzie Bóg dotknął karą
Nasze polskie wojsko sławnego hetmana,
Bo jest zwycięzone przez Turka tyrana.

4. ZAGADKA.

(Ułożył Wł. Koza).

Noszą to panie, również drzewa w lesie,
A kto odgadnie »Rola« nam doniesie.

5. ZAGADKA.

(Ułożył Walenty Pasierb).

Co to za imię, w którem się zawiera
Człowiek, ptak piękny i jedna litera.

6. ŁAMIGŁÓWKA.

(Ułożył Walenty Pasierb).

*	Spółgłoska.
. * .	Skorupiak.
. . * . .	Karność.
. . . * . . .	Postać literacka.
. . * . .	Część ciała.
. * .	Inaczej »dwaj«.
*	Samogłoska.

Środkowe litery, czytane z góry na dół dadzą nazwisko postaci literackiej z dzieł Sienkiewicza.

7. SZARADA.

(Ułożył Jędrzej Czarnik).

Pierwsze wprost litera i wspak litera.
A drugi wyraz dwie zgłoski zawiera,
Idź do Krakowa, zobaczysz trzy mogiły,
Więc jednej nazwę powiedz bracie miły.
Całość roślina i zioło lecznicze,
A które? proszę was, powiedzcie panicze!

8. ZAGADKA rachunkowa.

(Ułożył Andrzej Czachor).

Dwaj podróżni mają razem 250 Koron; gdyby jeden z nich dał drugiemu 25 Koron, mieliby równą ilość koron. Ile koron ma każdy z nich.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 30 września 1911 roku. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nru 37 *Roli*: 1. Szarada: **Barykady,** 2. Szarada: **Narzekanie,** 3. Zagadki: a) **Starszy brat ma 30 lat, młodszy 12,** b) **W jednym pokoju jest 16 osób w drugim 14,** 4. Szarada: **Kossak,** 5. Szarada: **Malina,** 6. Zagadki: a) **Żyła,** b) **Stonogi.**

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązanie:

Nie dał mi los książki, ano! trudna rada,
Trza próbować dalej: pierwsza barykada,
Jakoś mi nie trudne to rozwiązywanie,
Bo druga szarada będzie: narzekanie.
Leta między braci rachunek rozmieści,
Pierwszy ma dwanaście, a drugi trzydzieści.
Gdy osób trzydzieści mieszczą obie izby,
W pierwszej jest szesnaście niema wielkiej ciżby,
A w drugiej czternaście. Jestem już w połowie,
Że Kossak artystą, każdy niech to powie!
Widziałem raz, idąc przez leśne gęstwiny,
Jako chłopcy mali zbierali maliny.
Nietylko żyła ale i tętnica
Krew w nas rozprowadza i rumieni lica.
Stonogi wreszcie często się znachodzi,
Tu kres zagadkom — przestać mi się godzi.

Fr. Zdeb.

Oprócz tego w oznaczonym czasie nadesłali rozwiązania PP.:

A. Kardysz z Ż., J. Czarnik z Rz., W. Szczygieł z G., J. Kobylański z C., Władek z Łęgu, J. Hirszberg z K., H. Łukawski z J., J. Brzeziański z H., Koło Macierzy szk. z S., S. Franczak z P., J. Pękala z H., K. Żyła z F., J. Ryoel z W. M., J. Niemiec z G., B. Targowski z T., J. Płatkowski z M., A. Bezokówna z K. m., J. Maziarz z Z., S. Stolarzewicz z D., S. Zdunek z S., J, Woś z W., M. Serafin z W. z., K. Szeliga z B., J. A. Byłów z M., J. Krukurka z K., Fr. Puk z Ł., T. Mateja z W., J Filipiak z T., F. Teper z M. K., R. Kula z M. K., J. Paff z Ch., P. Morawiec z S. M., W. Szocik z D. M., A. Warchoł z Z., J. Ralski z O., J. Krawczykowa z T., W. Stefański z G., Moś J. z Cz., M. Dudek z Ż., Fr. Kelner z P. L., A. Zieliński z M. Z., F. Klocek z N. T., P. Grudek z B. W., J. H. Łukasiewicz z J. m., A. Czachor z C., A. Bogdalska z L., S. Misiewicz z Cz., J. Kobiernicki z K., J. Kasprzyk z Cz., A. Szarek z S. W., K. Migdał z L., Lech Fr. z W., Bożek Jan z J., P. Juroszek z I., Jan Höller z B. S.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Krzyżacy*** H. Sienkiewicza wylosował p. **Jan Kasprzyk** z Cz. zaś drugą p. t. ***Jestem*** A. Krechowieckiego p. **Kazimierz Migdał** z L.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Wiktorya Bilicka w K.: Wszystkie prace nadesłane w ciągu roku, czy były drukowane, czy nie, wliczamy do konkursu. Nadesłany wierszyk dobry. — Wł. Koza w T.: Pierwsza zagadka i arytmogryf dobre, zaś druga zagadka zbyt znana, szarada załatwa. Zagadki nadsyłane nam chętnie drukować będziemy, gdyż są starannie napisane a to ułatwia nam bardzo pracę. — Walenty Pasierb w Cz.: Z nadesłanych wierszy można poznać znaczny talent poetycki — są one udatne i miłe. Również szarady dobre. Niech Pan przysyła więcej a chętnie będziemy drukować. Prosimy jednak usilnie o pisanie tylko po jednej stronie papieru a nadto o pisanie wierszy na innych kartkach a szarad na innych. — Jędrzej Czarnik w Rz.: Wierszyk p. t. »W jesieni« mamy w tece a umieścimy go później w »Roli«, lub w Kalendarzu w tych dniach. — Michał Serafin w W. Z.: Najlepiej nabyć książkę Jezierskiego p. t. »Kraków« w cenie 1 K. Oprócz opisu Krakowa jest tam i plan, chociaż przyłączone gminy są uwidocznione niedokładnie. Dostanie w każdej księgarni. Lepszych planów niema. — Józef Woś w W.: Gdybyśmy chcieli wszystkie szarady, nadsyłane nam, zaraz drukować, trzebaby niemi zapełnić nieraz cały numer. Mimo to na wszystko przyjdzie kolej. Gdyby się dało powiększyć objętość »Roli«, przeznaczylibyśmy i na zagadki więcej miejsca. — Barszcz Mateusz w B.: Nadesłane szarady dobre. — Adela Bezokówna w K. M.: Rozwiązanie prawdopodobnie gdzieś w drodze zginęło. — Franciszek Zdeb w Cz.: Rozwiązanie i szarady na jednej kartce, gdy damy więc jedno do druku, drugie przepadnie. — Władek z Łęgu: Za słowa uznania i życzliwości serdecznie dziękujemy. Praca redaktorska nadzwyczaj trudna i niełatwo wszystkich zadowolić. Tembardziej nas to więc cieszy, że nasi Czytelnicy czują się zadowoleni. — Jan Siemik w N.: Nie zawiodą Pana oczekiwania — Kalendarz będzie miał tak obfitą i zajmującą treść, że musi każdego zadowolić. Jest on już prawie na ukończeniu. Podarków Szczęścia w 1912 r. rozlosujemy znacznie więcej. — Karol Idzik w R.: Firmy niemieckie mają tak ogromny odbyt, gdyż nie żałują pieniędzy na ogłoszenia. U nas dziwna oszczędność u kupców pcha Niemcom pieniądze do kieszeni. — Jan Koza w L.: Wiele z nadesłanych utworów przeznaczyliśmy do Kalendarza więc ich w »Roli« nie drukujemy; inne czekają swej kolei w numerach, ale wszystko będzie. — Jakób Kassolik w P.: Szarady tylko wierszem mogą być drukowane — inne nie. — Józef Kobyłański w C.: Niektóre kroniki w numerze — dziękujemy — inne dwie zbyt błahe, więc nie będą drukowane. — Komitet budowy w Szczyrku: Odezwę musieliśmy skrócić, gdyż nie wiemy, czy cuda były sprawdzone. — Robert Rydz w T.: Adresu p. Stefanii nie znamy, gdyż nie jest naszą prenumeratorką. Wiersze nadesłane były z Sokala. Brat jej, jak przypuszczamy, mieszka w Żabińcach, p. Probużna. W Kalendarzu utwory Pańskie będą. Piotr Bodzęta w M.: Dzień przed wysłaniem Kalendarza otrzyma Pan kartkę koresp., na której przy adresie będzie numer Pański do losowania »Podarku szczęścia«. Gdy tylko Kalendarz zostanie ukończony, natychmiast będziemy go wysyłali. — Sebastyan Sosin w W.: Przepraszamy za pomyłkę. — Wojciech Żak w P.: Nadesłana rzecz jest niezła, ale trochę nieprzyzwoita, przeto nie będzie drukowaną. Prosimy o coś innego.

Potwierdzenia prenumeraty:

Zawiła Edmund z C. (2 K.). Dymek Jakób z N (1 K.), Szewczyk J. z L. (1 K.), Ks. Józef Leńko z B. (4 K.), Józef Gruszka z W. (1 K.), Gross J. z W. (40 hal.), Ludwik Hechelski z B. (2 K.), Krzus Franciszek z D. (4·50 K.), Franciszek Piechota z R. (2 K.), Jan Buczek z K. (4·30 K.), Jan Kozioł z S. (2 K.), Stanisław Pasternak z C. (1 K.), Michał Pietrzyk z B. (1·20 K.), Józef Bednarz z M. (1 K.), Andrzej Zieliński z F. (1 K.), Pietrzykowski z K. (2 K.), Piotr Bodzenta z M. (3·50 K.), Kopka Jan z Ś. (4·50 K.), Moźdżan Franciszek z M. (1 K.), Mikołaj Popowicz z K. (1 K.), Ks. Jan Piwowarczyk z P. (1 K).

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 19 wrześ.

Pszenica	Kor.	12·10	do	12·60	za 50 kg.
Żyto	„	10.—	„	10·50	„
Jęczmień	„	9.—	„	9·50	„
Owies	„	8·50	„	8·80	„
Otręby pszenne	„	7·40	„	7·65	„
Otręby żytnie	„	7·25	„	7·50	„

Z powodu zarazy pyskowej targ na bydło zamknięty.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego